z miłości do miasta

na WiNNiCY

MAGAZYN TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY „WINNICA” | XI 2022 – III 2023 | NR 12

ISSN 2544–2880

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY WINNICA

Projekt okładki – Marta Surudo

Winobranie 2022

fot. Bartosz Mirosławski

W NUMERZE:

Wokół ratusza
Winobranie 2022 2

Od redakcji
Stulecie siedemsetlecia 3

Nad Złotą Łączą
Najpierw powstała osada 4-6
Wszerz i wzdłuż 6
Dlaczego będzie nas coraz mniej 7-8
Zielona Góra była Zielonągórą 9-11

Adres
Ul. Bohaterów Westerplatte 32 12

Literatura
O zawiłościach natury ludzkiej 13-15
Rymowanki zielonogórskie 15

Recenzje i omówienia
Pretekst do opowieści o mieście średniej wielkości 16
Immersyjność, czyli optyczne zanurzanie w rzeczywistości 17
Jubileuszowe publikacje 18

Ponad słowami
Jeszcze niedawno był to dziennik nr 1 19

Prosto z miasta
Pierwszy klub studencki zakończył działalność 20-21
Niezależna Wytwórnia Filmowa „A'Yoy" 22-23
Ludzie podchodzą, oglądają i dyskutują 23-24

Portret
Profesor z talentem menedżerem 25
Carl Friedrich Seiffert też był stąd 26

Sport
Żużlowcy pod opieką i patronatem Zgrzeblarek 27-28

Jak zostałem zielonogórzaninem
Zielona Góra była mi pisana 29-31

Na wzgórzach
Winiarskie związki z Francją 32
Winobraniowa degustacja komentowana 33
Tak świętowano siedem wieków miasta 34

Relacje
Praca zdalna 35

Komunikat
Zgodnie ze statutem 35

Kronika
Od wiosny do jesieni 36

Blisko ratusza
Obok Winobrania 37

Gdzie indziej
Żagań ma 36 zdeklarowanych przyjaciół 38

Stulecie siedemsetlecia

Z osiemsetleciem Zielonej Góry jest tak, jak z pobytem Chopina w Sulechowie. O tym, że 28 września 1828 roku w drodze z Berlina do Warszawy poeta fortepianu był tam, informuje tablica na ratuszu. Dokumentów brakuje, a te, które są, nie potwierdzają zdarzenia. Rozkład jazdy podaje, że dyliżans jechał z Poznania do Berlina najkrótszą drogą, czyli przez Sulęcin i Frankfurt. Tą samą drogą wracał. Wiadomość o koncercie ogłosił Maurycy Krasowski w „Młodości Fryderyka Chopina" w 1863 r. Fryderyk miał grać na fortepianie w budynku sulechowskiej poczty wtedy, gdy zmieniano konie. Po zakończonym koncercie pocztmistrz wykrzyknął: „Teraz spokojny i szczęśliwy umrę, bom słyszał Chopina, polskiego wirtuoza". W niemieckiej wersji tej książki jest takie zdanie: „Gdyby Mozart usłyszał pana, uścisnąłby pańską dłoń i powiedział: brawo! Człowiek tak małoznaczący jak ja, nie śmie tego uczynić". Wiadomość o koncercie Chopina w Sulechowie powtórzyła zielonogórska gazeta „Aus der Heimat" w 1923 r. Informatorką Krasowskiego była Izabella Barcińska, siostra Fryderyka. Mogła pomylić Sulechów z Sulęcinem, przez który jechał dyliżans, ponieważ Züllichau (Sulechów) występował w polskim czasopiśmiennictwie jako Cyllichów, a Zielenzig (Sulęcin) był Cielencinem.

W 1922 r. dwa Grünbergi świętowały swoje siedemsetlecia – tamten w Hesji i ten na Dolnym Śląsku. Pomysłodawcą obchodów w dolnośląskim Grünbergu mógł być archiwista i nauczyciel Hugo Schmidt, który pisał dzieło swojego życia „Geschichte der Stadt Grünberg/Schl." (Historia Zielonej Góry na Śląsku). Wtedy miasto przekroczyło 25 tys. mieszkańców, mogło więc ubiegać się o wyłączenie z powiatu ziemskiego i być zarządzane przez nadburmistrza. Burmistrz dr Ernst Ouvrier, który kierował miastem od 1901 r., dał się przekonać Schmidtowi, tyle że SPD sprawująca władzę w Republice Weimarskiej ten urząd oddała w ręce Alfreda Finkego, przeniesionego z Goleniowa. Za jego krótkiej kadencji, 3-4 czerwca miasto obchodziło siedemsetlecie. Dokumentu potwierdzającego czarno na białym, że nad Złotą Łączą w 1222 r. powstał gród taki jak w Krośnie czy w Głogowie, wtedy nikt nie widział. Schmidt w „Geschichte...", powołując się na kronikę Steinbacha z XVIII wieku, podaje, że tam, gdzie stoi ratusz, była owczarnia. 30 maja 1222 r. w tym miejscu położono kamień pod budowę pierwszej siedziby władz miasta.

W mojej powieści „Szwindel w Grünbergu" nadburmistrz Finke tak wyjaśnia, dlaczego w 1922 r. świętowano siedemsetlecie. „Chodzi o to, żeby grünberczycy myśleli nie tylko o utraconych majątkach i odszkodowaniach, jakich zwycięskie państwa ententy żądają od Niemiec, o zabitych ojcach, mężach, braciach i synach, sąsiadach, lecz i żyli nadzieją na zmianę swego położenia. Po ciężkiej pracy, po trudach dnia powszedniego ludziom należy się wytchnienie. To z jednej strony powinien być odpoczynek dający radość, z drugiej szacunek i pamięć o tych, którzy między zielonymi wzgórzami wznieśli ratusz i otaczające go kamienice, kościoły, warsztaty, sklepy i banki, fabryki. Którzy założyli winnice i ogrody".

Jedno jest pewne: w 2022 r. przypada stulecie tego, co świętowali grünberczycy.

Alfred Siatecki

na WINNICY

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY W WINNICY

Redagują:
Alicja Błażyńska, Alina Polak-Woźniak, Alfred Siatecki – redaktor naczelny, Sylwester Woźniak
Projekt winiety – Wacław Serdeczny. Projekt layoutu, skład – Emilia Ćwilińska.
Numer zamknięto 15 października 2022 r.

Adres do korespondencji
65-093 Zielona Góra, ul. Lisia 37, e-mail: tmzg-winnica@o2.pl, www.tmzg.org.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów przyjętych do druku oraz prawo nieodpłatnego publikowania listów. Redakcja zastrzega sobie również możliwość wykorzystania publikowanych materiałów na stronie internetowej TMZG „W". Za treść zamieszczonych reklam, ogłoszeń, listów i materiałów sponsorowanych redakcja nie odpowiada.

ZREALIZOWANO PRZY POMOCY FINANSOWEJ MIASTA ZIELONA GÓRA

ISSN 2544-2880

Władysław Korcz

Najpierw powstała osada

Hugo Schmidt, autor największej monografii Zielonej Góry (przeszło 1000 stron druku), wydał swoja książkę w 1922 roku na jubileusz 700-lecia miasta, jak wyraźnie to podkreślił. A więc zgodnie z tezą Schmidta Zielona Góra powstała w roku 1222. Przyjęcie tej daty ma pozory prawdy.

Związał ją bowiem autor niemiecki ze znaną działalnością osadniczą Henryka Brodatego, rzekomo niemieckiego księcia. Faktycznie Henryk Brodaty wiele wysiłku poświęcił w zapełnianiu pustek swojego państwa. Niestety jednak żadnych szczegółów (dokumentacji nie ma) odnoszących się do rozmiarów osadnictwa i jego liczebności, które swoim zasięgiem objęło pierwotną osadę, z której wyrosła Zielona Góra – nie znamy. Wobec braku potwierdzenia źródłowego początek miasta należy więc przesunąć na znacznie późniejsze lata. Można przyjąć, że pierwsza osada nad niewielką rzeczką Złotą Łączą miała charakter rolniczo-leśny, a jej rozwój uzależniony był od postępów w trzebieniu zalegającej te obszary puszczy. Osiedle takie mogło istnieć pod koniec pierwszej połowy XIII wieku, z czasem stając się miejscem osiedlenia się pierwszych rzemieślników, wykorzystujących względnie korzystne położenie i stopniowo przekształcających skromny ośrodek w miasto.

Źródłowe potwierdzenie nie tylko istnienia Zielonej Góry,

ale i jej charakteru miejskiego znajdujemy w jednym z najstarszych dokumentów z 5 marca 1302 r. (fakt pojawienia się wzmianki w dokumencie jest zawsze późniejszy niż powstanie samej osady), z którego dowiadujemy się o darowiźnie przez księcia Henryka III (należy pamiętać, że od swych początków Zielona Góra znajdowała się w Księstwie Głogowskim) wsi Jędrzychów, jako leżącej „in territorio Grunenbergensi". Określenie to może sugerować myśl, że w tym okresie Zielona Góra była już ośrodkiem okręgu administracyjno-sądowego, wprowadzonego przez rozwój oprawa niemieckiego na miejsce dawnych jednostek grodowych.

Następny dokument, późniejszy o osiem lat od pierwszego, z 29 czerwca 1310 r., zawiera umowę kilku miast: Głogowa, Żagania, Wschowy, Krosna Odrzańskiego, Zielonej Góry i Lubina w sprawie ścigania przestępców winnych rabunkom, podpalaniu i porwaniu kobiet. Kontrahenci zobowiązują się pomagać sobie wzajemnie i schwytanych przestępców natychmiast oddawać pod sąd. Obecność przedstawicieli Zielonej Góry, podpisujących dokument, jest chyba bezspornym dowodem o zaawansowanym rozwoju i prężności tych wszystkich miast, którym Zielona Góra najwidoczniej dorównywała. Czy oznacza to, że ówczesna Zielona Góra posiadała prawa miejskie? Ściśle tego określić się nie da, gdyż nie zachował się dokument lokacyjny. Zdania w tej materii są podzielone. Niektórzy z autorów piszących o Zielonej Górze wysuwają twierdzenie, że Zielona Góra otrzymała prawa miejskie już w latach 1265-1270, inni podają 1315 rok, a jeszcze inni przesuwają datę na rok 1323. Ta ostatnia jest chyba najbliższa prawdy, choć potwierdzenia tego dokumentu nie posiadamy.

Na środku rynku stoi ratusz, nie wiadomo kiedy zbudowany, gdyż po licznych pożarach był tylekroć przebudowywany, że nie zachowały się żadne relikty poświadczające czas jego powstania.

Jeszcze jedno potwierdzenie charakteru miejskiego Zielonej Góry znajdujemy również w dokumencie z 28 lutego 1312 r., który mówił o podziale dóbr Henryka III Głogowskiego (zmarł w r. 1309) między jego synów.

Wróćmy jeszcze na chwilę do wzmianek o najstarszej osadzie, która z czasem przeistoczy się w ośrodek miejski, datowanej na koniec pierwszej połowy XIII wieku. Przyjmując je za prawdziwe należy przyjrzeć się konkretnemu usytuowaniu tej osady w terenie. Należałoby więc szukać w miejscu skrzyżowania się szlaków handlowych uzależnionych od warunków fizjograficznych. Znajdowało się ono prawdopodobnie u podnóża Ceglanej Góry (niedaleko dzisiejszego gmachu urzędu miejskiego). Krzyżujące się w pobliżu drogi zadecydowały o wzniesieniu drewnianego kościoła pod wezwaniem św. Jana, który wraz z otaczającymi go zabudowaniami spłonął w czasie wielkiego pożaru miasta w roku 1582. Jeszcze jednak na planie Zielonej Góry z roku 1784 zaznaczony jest na tym miejscu cmentarz, z dopiskiem

„Plac kościelny św. Jana".

Ten najstarszy punkt osadniczy Zielonej Góry – dla orientacji współczesnego obywatela naszego miasta – umiejscawia się przy zbiegu dzisiejszych ulic Matejki i Kupieckiej. Poza wspomnianym kościołem, najstarsi autorzy dziejów Zielonej Góry wymieniają jeszcze nazwę „Dom", która jest związana z najstarszym osiedlem, a może oznaczać jakąś inną znaczniejszą budowlę w tej osadzie. Z topografii terenu można wnosić, że osiedle to nie miało charakteru obronnego, gdyż pobocze, do którego przylegało, rozciąga się łagodnie w kierunku południowym i północno-wschodnim i w żadnym razie nie mogło służyć za punkt obronny, nie chroniła go też rzeczka Złota Łącza, która przepływała o około 200 m na zachód od niego. Jedynym uzasadnieniem charakteru tej osady jest jej położenie nad skrzyżowaniem dróg, świadczące iż mamy do czynienia z osadą targową. Fakt ten nie wyklucza, że jej mieszkańcy trudnili się również

R. Helbig, „Panorama Zielonej Góry", obraz olejny z 1896 r. w zbiorach Muzeum Ziemi Lubuskiej

innymi zajęciami, jak np. rolnictwem i hodowlą. Rozległa bowiem równina nad Złotą Łączą nadawała się znakomicie na hodowlę owiec. Na tej też dolinie ulokowało się miasto. Osiemnastowieczny plan zachował w głównych zarysach kształt miasta i rozmieszczenie główniejszych obiektów.

Miasto jest usytuowane na osi północ–południe.

Rynek ma kształt wydłużonego czworoboku. Na planie występuje dokładne przystosowanie kompleksu zabudowań do warunków terenowych. Prostokąt bloków rynku i sam rynek jest mianowicie usytuowany na równinie, której bok od strony wschodniej i drugi od strony północnej zamyka Złota Łącza, od strony południowej teren równinny kończy się równo z granicą bloku południowego, za którą następuje lekkie wzniesienie, od zachodu zaś obserwujemy obniżenie.

Ten ścisły związek przystosowania zabudowy rynku do równiny nad Złotą Łączą jest niewątpliwy i widoczny.

Kompleks zabudowy rynku składa się z dwóch bloków dłuższych: wschodniego i zachodniego, przy czym we wschodnim znajduje się uliczka Kościelna, prowadząca do drugiego, jeśli chodzi o datę powstania, kościoła zielonogórskiego pod wezwaniem św. Jadwigi. Uliczka łączy się z placem kościelnym.

Na środku rynku stoi ratusz, nie wiadomo kiedy zbudowany, gdyż po licznych pożarach był tylekroć przebudowywany, że nie zachowały się żadne relikty poświadczające czas jego powstania. Autorzy niemieccy podają datę 30 maja 1320 roku. Nie wchodząc w bliższe szczegóły – możemy przyjąć, że został wybudowany na początku XIV lub pod koniec XIII wieku, wtedy bowiem niewątpliwy rozwój miasta i nadanie praw miejskich wywołały potrzebę wybudowania siedziby władz. Obok ratusza stanęły jatki. Mniej więcej w tym samym XIV lub pod koniec XIII wieku został zbudowany kościół św. Jadwigi. Na jego usytuowanie warto zwrócić uwagę, nie stoi bowiem na środku rynku, lecz odsunięty jest na wschód tuż pod mur miejski, gdzie tworzy kompleks razem z plebanią i placem kościelnym.

Rynek, ratusz, blok domów i kościół

zostały opasane palisadą drewnianą, która później została zamieniona na mur, w wieku XV. Ani palisada, ani mury nie były zbyt wysokie. Nie posiadały baszt i strzelnic, były licowane tylko cegłą, wnętrze ich było wypełnione gruzem. Właściwie, jak zgodnie stwierdzają znawcy, Zieloną Górę można było uznać za miasto otwarte. Tego charakteru miasta nie zmienił nawet zamek zbudowany prawdopodobnie za czasów ks. Konrada I, podczas wojny między braćmi o sukcesję po Henryku Brodatym (połowa XIII wieku), w momencie narodzin nowej dzielnicy – Księstwa Głogowskiego. Zamek ten spłonął w 1488 roku i nie został nigdy odbudowany. Istnieje nawet trudność jego zlokalizowania. Przypuszcza się, że stał na północny zachód od miasta, przy zbiegu dzisiejszych ulic Zamkowej, Krakusa i Wandy.

Jak pisze W. Posadzy w pracy „Zielona Góra, przeszłość i teraźniejszość" (Poznań 1962): „Wskazane położenie zamku, jego dość znaczne oddalenie od średniowiecznego miasta i stosunkowo późne pojawienie się były niewątpliwie

powodem, że nie wywarł on większego wpływu na rozplanowanie średniowiecznego ośrodka miejskiego. Sam fakt istnienia w Zielonej Górze rezydencji książęcej mógł oczywiście dodatnio wpłynąć na jej rozwój gospodarczy i związany z nim rozwój przestrzenny".

W świetle dotychczasowych rozważań można przyjąć, że Zielona Góra była początkowo osadą polską typu niemieckiego. Różnice co do jej charakteru występują od momentu lokacji na prawie niemieckim. Autorzy niemieccy nie wątpią, że miasto zbudowali przybysze niemieccy po otrzymaniu praw miejskich. Pewność ta jest co najmniej wątpliwa, a podważa ją w sposób zdecydowany najstarszy, znany plan miasta z XVIII wieku. „W planie miasta bowiem, jak w skamieniałości, przetrwało wierne odbicie epok minionych" – pisał prof. Kazimierz Tymieniecki. Jeżeli miasto, zgodnie z twierdzeniami niemieckich autorów, zbudowali Niemcy, to zabudowa kompleksu rynkowego, tj. właściwie całego miasta, bo taki niewielki obszar ono zajmowało, powinna być wykonana na wzór brandenburski, tymczasem już na pierwszy rzut oka widać, że nie ma ona z wzorem brandenburskim nic wspólnego. Badania nad genezą i rozplanowaniem miast wielkopolskich pozwoliły na ustalenie wielkopolskiego typu zabudowy polegającej na:

– wydłużonej formie placu targowego powstałego najczęściej z drogi targowej,
– usytuowanie kościoła nie na rynku, jak we wzorze brandenburskim, a obok rynku.

Z dotychczasowych uwag i stwierdzeń wynika wyraźnie, że

Zielona Góra jest zbudowana według wzoru wielkopolskiego.

Niektórzy autorzy Polsce są zdania, że miasto zostało rozplanowane i rozbudowane po nadaniu aktu lokacyjnego, a argumentem przemawiającym za tą tezą ma być regularna zabudowa i chronologiczna zbieżność zabudowy najważniejszych obiektów w mieście. Wydaje się jednak, że tezę tę można z powodzeniem podważyć, gdyż plan miasta i jego topografia pozwalają domyślać się stopniowego rozwoju osady od jej zalążków aż do momentu nadania praw miejskich, które stały się po prostu formalnością konieczna dla uregulowania stosunków prawnych w rozwiniętym i zabudowanym mieście.

Argument, że regularna zabudowa wynika z początków kolonialnych miasta, został przez naukę polską dawno obalony. Również usytuowanie miasta, pokrywające się dokładnie z granicami doliny nad Złotą Łączą oraz jego otwarty charakter przemawiają raczej za stopniowym rozwojem nowej osady. Przy takim widzeniu tworzenia się osady, a następnie miasta nie można pominąć pewnego wpływu pierwszych osadników obcych, którzy dotarli na Śląsk już w XII wieku (kolonizacja frankońsko-flamandzka), podobnie jak liczniejsza w wieku XIII. Przecenianie jednak wpływów tych kolonizacji byłoby całkowicie błędne, nie były one w stanie zmienić rodzimej ewolucji życia gospodarczego, w tym także powstania miasta i wyeliminować dzieła ludności rodzimej. Trwałość tego dzieła przetrwała jako żywy element na długo w późniejszym rozwoju miasta.

Niektórzy z autorów wysuwają twierdzenie, że Zielona Góra otrzymała prawa miejskie już w latach 1265-1270, inni podają 1315 rok, a jeszcze inni przesuwają datę na 1323. Ta ostatnia jest chyba najbliższa prawdy.

Od redakcji: Powyższy artykuł pierwszy raz ukazał się w „Kalendarzu Zielonogórskim 1984" (wyd. LTK 1983). Jego autor, dr hab. Władysław Korcz (1913-1997), pracował w Wyższej Szkole Pedagogicznej, gdzie był wykładowcą i prowadził badania z zakresu historii.

Wszerz i wzdłuż

Jubileusz 800- i 700-lecia Zielonej Góry jest dobrą okazją do pokazania zmian terytorialnych miasta na przestrzeni ostatnich około 100 lat. Obecnie południowa stolica regionu lubuskiego zajmuje 278,24 km kw. Oznacza to, że pod względem powierzchni należy do największych miast w Polsce.

Powierzchnia Grünbergu wynosiła 32,29 km kw. Powojenna Zielona Góra z nielicznymi, kosmetycznymi korektami w zasadzie niewiele różniła się terytorialnie od miasta przedwojennego.

W połowie 1950 r. Zielona Góra została stolicą województwa zielonogórskiego. Przybywało mieszkańców, rosły nowe domy, rozbudowywały się fabryki. To spowodowało szybki rozwój miasta. Pierwsza duża zmiana nastąpiła 1 stycznia 1962 r. Wtedy miasto powiększyło się o grunty wsi Chynów i Jędrzychów. Od tego roku powierzchnia Zielonej Góry wynosiła 55,49 km kw., co oznacza, że w porównaniu z rokiem poprzednim była większa o około 72 proc.

1 stycznia 1986 r. włączono do miasta grunty wsi Stary Kisielin i osiedla Raculka o łącznej powierzchni 2,84 km kw. Na tym terenie pobudowano osiedla Pomorskie (w części), Śląskie, Mazurskie i Kaszubskie oraz osiedla domków jednorodzinnych. Miasto zajmowało wówczas 58,33 km kw. Obszar w takich granicach przyjął, po włączeniu gminy wiejskiej Zielona Góra, umowną nazwę Stare Miasto.

1 stycznia 2015 r. połączono gminę miejską ze składającą się z 17 sołectw, obejmującą Zieloną Górę z trzech stron, gminą wiejską Zielona Góra. Przyłączony obszar o powierzchni 219,96 km kw., stał się dzielnicą Nowe Miasto. Po tym fakcie terytorium zajmowane przez Zieloną Górę zwiększyło się do 278,30 km kw.

W związku z budową obwodnicy południowej i potrzebą wciągnięcia jej w całości w obszar miasta w 2021 r. dokonano wymiany gruntów z gminą Świdnica. Po tej operacji powierzchnia miasta zmniejszyła się do 278,24 km kw.

MS

Tomasz Jaworski

Dlaczego będzie nas coraz mniej

Według przeprowadzonego w 2021 r. spisu ludności populacja Polski liczy 38 036,1 mln osób. To oznacza, że liczba ludności naszego kraju zmniejszyła się o 1,2 proc. w porównaniu z wynikami spisu 2011 r.

rys. Władysław Kuczer

„Gdzie są te dzieci?" – taki baner widziałem na ulicy Wrocławskiej w Zielonej Górze. Warto zatem zastanowić się nad postawionym pytaniem. Szczególnie nad tym, czy można dowolnie zwiększać lub zmniejszać liczbę dzieci w zależności od potrzeb państwa? A także, czy polityka ludnościowa może być jednostronna, tzn. uwzględniająca tylko ruch wertykalny (urodzenia, śluby i zgony), a ignorująca zupełnie ruch horyzontalny (migrację)? Dobrą okazją do takich rozważań są wyniki Narodowego Spisu Powszechnego.

Złożyło się na to również kilka innych powodów. W Polsce i w Europie Wschodniej ważną rolę odegrała zmiana rolniczej strategii trwania, czyli uzależnienie funkcjonowania gospodarstw chłopskich od cyklu rozwoju rodziny. Gospodarstwo i ziemia dawały stabilizację, chociaż o różnym stopniu zamożności. Już jednak w końcu lat 60. XX wieku zauważono, że: farma rodzinna przekształca się w rolnicze przedsiębiorstwo, w którym użytkownik jest jednocześnie podejmującym ryzyko zarządcze czy przedsiębiorcą, który wraz ze swoją rodziną wykonuje większość pracy w gospodarstwie i odgrywa rolę rzeczywistego kierownika. Taka rodzina rolnicza nie potrzebuje większej siły roboczej. Prowadziło to do zmian demograficznych i dalszego systematycznego obniżania dzietności, mimo i tak już niskiego poziomu. Podobny proces następował w miastach, które przyciągnęły nadwyżkę ludności wiejskiej, co spowodowało spadek płodności poniżej poziomu gwarantującego ciągłość zastępowalności pokoleń. Do tego dochodził bardzo niski poziom umieralności, wynikający z dążenia obojga rodziców do osiągnięcia własnych źródeł dochodów z pracy oraz odpowiedniego wykształcenia i zadowolenia z życia poprzez realizację swoich zamierzeń. Doniosłą rolę zaczynają odgrywać też motywacje stałego podnoszenia poziomu życia rodziny. W tej sytuacji posiadanie dzieci może stać się barierą osiągnięcia wyznaczonych celów. W następnych latach ów indywidualizm stanowi decydujący czynnik ograniczający prokreację w społeczeństwach postindustrialnych.

Nowy system wartości spowodował, że współczesne społeczeństwa przedkładają własne życie nad życie rodzinne. Szczególnie jest to widoczne na obszarach, które mają większe możliwości emigracji. Dało się to zauważyć już w 2010 r., kiedy najwyższy poziom urodzeń pozamałżeńskich zanotowano na obszarach zachodniej Polski, i tak w województwie zachodniopomorskim – 37,5 proc. i lubuskim – 36,4 proc. wszystkich dzieci. Warto dodać, że były też powiaty, gdzie ten odsetek wynosił nawet 47 proc. Najmniej nieślubnych dzieci przychodziło na świat w województwie małopolskim – 10,7 proc. i podkarpackim – 11 proc.

W strukturze demograficznej Zielonej Góry zwiększa się też udział ludności w wieku poprodukcyjnym, a także zmienia się proporcja ludności według płci. Wśród 140 708 mieszkańców południowej stolicy województwa lubuskiego jest 74 047 kobiet i 66 661 mężczyzn. Zwiększa się udział kobiet w populacji, a prognozy demograficzne wskazują na utrzymanie się tej tendencji. Aktualnie na 100 mężczyzn przypada 111 kobiet, a przykładowo w 1988 r. – 104. Opisywane przemiany wskazują na stosunkowo jednoznaczny i niestety nowy obraz, w którym polska rodzina kształtowana jest przez warunki zewnętrzne, wyznaczane głównie przez realia rynku pracy oraz nowoczesny styl życia. Zjawiskiem powszechnym jest podwójne obciążenie kobiet pracą zawodową i obowiązkami rodzinnymi. Prowadzi to do malejącego odsetka osób żonatych i zamężnych, tj. żyjących w formalnych związkach. Zwiększa się liczba związków partnerskich. Wskazuje to na zmianę modelu rodziny.

Wśród 140 708 mieszkańców południowej stolicy województwa lubuskiego jest 74 047 kobiet i 66 661 mężczyzn.

Widać to wyraźnie w dużym odsetku gospodarstw tworzonych przez jedną osobę. Powstawanie gospodarstw jednoosobowych powoduje odkładanie decyzji dotyczących zawierania małżeństw. W Zielonej Górze zmniejsza się także wielkość gospodarstw domowych (z 3,2 osoby w 1988 r. do 2,2 osoby w 2020 r.) Tendencja ta utrzymuje się w perspektywie długookresowej.

Rośnie dynamicznie ruch wędrówkowy. Już obecnie ludność zmieniająca miejsce swego pobytu stanowi prawie połowę ogółu mieszkańców województwa. Większą mobilnością charakteryzowały się kobiety. Niepokoi głównie fakt, że województwo lubuskie opuszczają przede wszystkim osoby młode, w wieku 25-34 lata, przy czym wśród mężczyzn – osoby w wieku 30-34 lata, a wśród kobiet – w wieku 25-29 lat. Spowoduje to w przyszłości dalsze starzenie się naszego społeczeństwa.

Wszystkie przedstawione wyżej nowe zjawiska należy upatrywać głównie w zmieniającej się sferze kultury i technologii. Modernizujące się społeczeństwo korzysta z podwyższonej jakości życia, głównie z jakości odżywiania, standardów higieny publicznej i ochrony zdrowia, co przyczyniło się do obniżenia poziomu umieralności i wydłużenia życia. Natomiast rodzina, zwana industrialną (mieszczańską), niemal powszechnie oparta na małżeństwie mężczyzny i kobiety, wychowująca potomstwo zrodzone w wyniku świadomych decyzji prokreacyjnych, do której przywykliśmy, zaczyna zanikać. Była ona dopasowana do ówczesnego społecznego podziału pracy i wynikającego z tego wewnątrzrodzinnego podziału między małżonkami (i zarazem rodzicami) obowiązków. W zbyt dużym stopniu oparta była na upośledzeniu kobiet w ramach tego podziału, a z drugiej stronny dużą wagę przywiązywano do odpowiedniego przygotowania dzieci do życia.

Inaczej jest w społeczeństwach ponowoczesnych, gdzie dominuje indywidualizacja życia połączona z powszechnym prawem do samorealizacji. To jednostka dba o własne ciało i zdrowie, czym wspiera społeczne siły promujące zdrowotność, a w rezultacie przeciwdziała przedwczesnej umieralności. Z drugiej strony na formowanie się kształtu rodzin wpływają procesy technologiczne, głównie udoskonalenie metod antykoncepcyjnych, a także rozwój środków transportu i technik informacyjnych. Prowadzą one do spadku małżeńskości i rozrodczości, zwiększenia natężenia separacji i rozwodów. Wzrasta też popularność alternatywnych form partnerskich, nie tylko hetero – i homoseksualnych, ale i rodzinnych (par bezdzietnych, rodzin rekonstytuowanych). Generalnie jest to wynikiem liberalizacji sfery zachowań seksualnych. Można w tym upatrywać zmniejszenie się roli tradycyjnych autorytetów i norm społecznych w zachowaniach jednostek. Ale trzeba też pamiętać, że wynika to z rosnącej akceptacji alternatywnych form związków partnerskich i rodzinnych, jak również strategii życiowych „nierodzinnych" (model singla/singielki). Nie oznacza to wcale, że tradycyjne formy będą zanikały, ale świadczy jedynie o poszerzeniu spektrum wyboru zachowań w tej dziedzinie.

Oczywiście prowadzi to do nowej kultury życia i miejsca jednostki w społeczeństwie. Wyraża się to między innymi opóźnianiem wieku wchodzenia w związki i zakładania rodziny oraz rosnącą częstość bezpotomności z wyboru, malejącą skłonność do posiadania drugiego i dalszych dzieci. Rośnie też popularność związków partnerskich (mniej trwałych niż małżeństwa) i coraz mniejszej trwałości związków małżeńskich. Może to niepokoić, ale nie uważam, że należy to wszystko zaliczyć do zjawisk negatywnych, bo – mimo wszystko – świadomość prokreacyjna nie jest zagrożona. Pod koniec 2022 r. będzie nas na świecie 8 miliardów. A rosnąca rola migracji, która jest koniecznością przy tak rosnącej liczbie ludności świata, umożliwia tworzenie takich związków, które nie będą budowane na wykorzystywaniu tylko jednego z partnerów. I rzecz najważniejsza, człowiek musi mieć prawo wyboru i nie można odbierać ludziom prawa decydowania o własnym losie i swoich najbliższych, bo to prowadziło całkowitej dehumanizacji życia.

A przede wszystkim, polityka ludnościowa musi być zrównoważona (wertykalna i horyzontalna), przykładem są kraje kierujące się takimi założeniami, które nie mają problemów populacyjnych a także gospodarczych. I na koniec jeszcze jedna sprawa, przy rosnącej liczbie ludności świata i zróżnicowanych możliwościach poszczególnych regionów taka polityka staje się koniecznością.

Portret zielonogórzan

W Zielonej Górze w latach 2002-2021 liczba mieszkańców wzrosła o 18,9 proc. Pamiętać jednak należy, że w 2015 r. przyłączono gminę wiejską Zielona Góra do gminy miejskiej. Prognozowana liczba mieszkańców miasta w 2050 r. wynosić będzie 106 474, z czego 53 895 to kobiety i 52 579 mężczyźni. Zielonogórzanie zawarli w 2020 r. 446 małżeństw, co odpowiada 3,2 małżeństwa na 1000 mieszkańców. Jest to mniej niż w województwie oraz mniej od wartości dla Polski. W tym samym okresie odnotowano 1,4 rozwodów przypadających na 1000 mieszkańców. Jest to znacznie więcej od wartości dla województwa lubuskiego oraz nieznacznie więcej od wartości dla kraju. 28,6 proc. mieszkańców Zielonej Góry jest stanu wolnego, 52,8 proc. żyje w małżeństwie, 7,5 proc. jest po rozwodzie, a 9,1 proc. to wdowy i wdowcy. Zielona Góra ma ujemny przyrost naturalny wynoszący – 470. Odpowiada to przyrostowi naturalnemu – 3,33 na 1000 mieszkańców miasta. W 2020 r. urodziło się 1252 dzieci – 46,7 proc. dziewczynki i 53,3 proc. chłopcy. Średnia waga noworodków to 3379 gramów. Współczynnik dynamiki demograficznej, czyli stosunek liczby urodzeń żywych do liczby zgonów wynosi 0,73 i jest większy od średniej dla województwa oraz porównywalny do współczynnika dynamiki demograficznej dla całego kraju. W 2019 r. 33,7 proc. zgonów w Zielonej Górze spowodowanych było chorobami układu krążenia, przyczyną 30,9 proc. zgonów były nowotwory, a 3,8 proc. spowodowały choroby układu oddechowego. Na 1000 ludności miasta przypada 1219 zgonów. Jest to wartość porównywalna do wartości średniej dla województwa lubuskiego oraz porównywalna do wartości średniej dla kraju. W 2020 r. zarejestrowano 1325 zameldowań w ruchu wewnętrznym i 1022 wymeldowań, w wyniku czego saldo migracji wewnętrznych wynosi dla Zielonej Góry 303. W tym samym roku 71 osób zameldowało się z zagranicy oraz zarejestrowano 22 wymeldowania za granicę – daje to saldo migracji zagranicznych wynoszące 49. 57,8 proc. zielonogórzan jest w wieku produkcyjnym, 18,1 – w przedprodukcyjnym i 24,1 proc. – w poprodukcyjnym.

Ryszard Zaradny

Zielona Góra była Zielonągórą

Repolonizacja nie rozstrzygała pisowni nazwy miasta – Zielonagóra czy Zielona Góra. W 1945 i 1946 roku dominowała tu dowolność. Dotyczyło to także szacownego grona naukowego, jakim była sekcja onomastyczna Instytutu Zachodniego w Poznaniu, która nakreśliła zasięg terytorialny swoich prac do „środkowego Przyodrza".

W 1945 r. Polska była państwem o nowym obliczu politycznym, ale także terytorialnym. W granicach Rzeczypospolitej znalazły się dotychczasowe wschodnie prowincje Niemiec. Przyznanie tych ziem oraz przesunięcie granic państwa na zachód wynikało z potrzeby dokonania rekompensaty terytorialnej za utratę kresów wschodnich. Spowodowało to olbrzymi exodus ludności. Dotyczyło to ponad 7 milionów Niemców zamieszkujących te tereny w 1939 r. i ponad 5 milionów ludności polskiej przesiedlonej z kresów wschodnich i terenów centralnej Polski.

Sytuacja ta nakazywała pilną konieczność rozwiązania problemu z nazewnictwem geograficznym na ziemiach zachodnich i północnych, bowiem napływający osadnicy natrafiali na obce i złowrogie nazwy niemieckie. Rozwiązanie tego problemu – spolonizowanie nazw geograficznych - było zadaniem ogromnej wagi społecznej i politycznej, stojącym zarówno przed państwem, jak i narodem polskim. Uporządkowanie tych spraw miało redukować traumatyczne przeżycia przesiedlonej ludności i stwarzać psychologiczny komfort stabilizacji, swojskości i przywiązania do nowego – polskiego – miejsca zamieszkania. Z jednej bowiem strony miało dawać świadectwo odwiecznych praw historycznych do tych ziem, a z drugiej dawać poczucie swojskości ziemi, na której się osiedlili tak, by stała się im bliższa. Istotne znaczenie miało także ułatwienie w sprawnym działaniu polskiej administracji, komunikacji i łączności (poczta, telegraf, telefon), a zwłaszcza kolejnictwu.

Jedną z pierwszych takich instytucji, która rozwinęła najszerszą działalność w zakresie nazewnictwa, była Dyrekcja Okręgowa Kolei Państwowych w Poznaniu. Powołała pod przewodnictwem prof. ks. Stanisława Kozierowskiego Komisję dla spraw Przywrócenia Nazw Słowiańskich na Przyodrzu, której pierwsze posiedzenie odbyło się w Poznaniu 7 kwietnia 1945 r. Wzięli w nim udział znani polscy historycy onomaści: prof. Zygmunt Wojciechowski, prof. Mikołaj Rudnicki i Bolesław Czwójdziński (który objechał wszystkie czynne linie kolejowe, szkicując trasy kolejowe z nazwami stacji). W myśl ustaleń komisji

zmieniono na polskie nazwy stacji i przystanków kolejowych

od Pomorza Zachodniego do Śląska. Działalność w tym zakresie w lipcu 1945 r. podjął także Instytut Zachodni w Poznaniu powołując sekcję onomastyczną, która pod przewodnictwem prof. Rudnickiego rozpoczęła prace nad nazwami Ziemi Lubuskiej i Pomorza Zachodniego. Przybywająca ludność zaczęła, głównie z powodów praktycznych, samodzielnie nominować miejscowości polskimi lub po prostu spolonizowanymi nazwami niemieckimi. Niejednokrotnie osadnicy nadawali miejscowościom nazwy znane im ze stron rodzinnych, by utrwalić w świadomości następnych pokoleń pamięć o ziemiach utraconych. Ponieważ nazwy równocześnie ustalały i nadawały – bez porozumienia – także inne instytucje – ministerstwa, wojewodowie, starostowie, dyrekcje pocztowe czy zarządy lasów państwowych panował chaos nazewniczy. Decyzje te często rozsyłane były w formie maszynopisu. Damian Utracki podaje jako przykład takiego chaosu miejscowość, której niemiecka nazwa to Sternberg, kolejowa – Gwiazdowiec, administracyjna – Toruń Lubuski, a ustawowa – Torzym.

Kres panującemu chaosowi położyła dopiero Polska Akademia Umiejętności powołując komisję nazw geograficznych, której kierownictwo stanowili: historyk prof. Władysław Semkowicz oraz lingwiści prof. Kazimierz Nitsch i prof. Witold Taszycki. Następnie PAU zwróciła się do Ministerstwa Administracji Publicznej z wnioskiem o powołanie urzędowej głównej komisji ustalania nazw miejscowości.

Przepisy prawne, które regulowały urzędowe nadawanie nazw miejscowościom wywodziły się z dwóch porządków prawnych, a mianowicie przedwojennego rozporządzenia Prezydenta RP z 24 października 1934 r. (Dz.U. RP nr 94, poz.850) oraz art. 2 dekretu z 13 listopada 1945 r. o zarządzie Ziem Odzyskanych (Dz. U. RP nr 51, poz. 295). Na podstawie tych przepisów przy Ministerstwie

OTWARCIE SEZONU!

ZESPÓŁ TEATRU MIEJSKIEGO W ZIELONEJGÓRZE

wystawia komedię w 3 aktach
Józefa Czaporowskiego
pt.

BARON-REKRUT

(NA WESOŁO)

poprzedzoną występami baletu pod kier.
Haliny Błońskiej i solistów zespołu

Reżyseria i kier. art. — CEZARY JULSKI
Kier. baletu — HALINA BŁOŃSKA
Kier. muzyczne — JAN BARTOSZ

Efekty świetlne: PAWLAK MIECZYSŁAW
Dekoracje: JAN PUSZKO

Kierownik Teatru CEZARY JULSKI

Afisz teatralny z końca 1945 r. *fot. Archiwum*

Administracji Publicznej powołana została w styczniu 1946 r. jako organ doradczy Komisja Ustalania Nazw Miejscowości zwana też Komisją Główną lub Komisją Ministerialną z prof. Stanisławem Srokowskim jako przewodniczącym. Członkami Komisji byli: profesorowie Kazimierz Nitsch, Mikołaj Rudnicki, Witold Taszycki, a także Władysław Semkowicz i Stanisław Rospond. W jej skład wchodzili także przedstawiciele ministerstw: Administracji Publicznej (Ziem Odzyskanych), Obrony Narodowej, Poczt i Telegrafów oraz komunikacji. Powstała w ten sposób komisja uznała funkcjonujące już zespoły naukowe za swe komisje regionalne, które otrzymały następujące zadania: Komisja Kraków I pod przewodnictwem W. Taszyckiego miała opracować nazwy Śląska, Komisja Kraków II również pod przewodnictwem W. Taszyckiego zajęła się nazwami Pomorza Wschodniego, Komisja Poznańska wreszcie pod przewodnictwem prof. M. Rudnickiego miała za zadanie ustalenie nazw Pomorza Zachodniego i Ziemi Lubuskiej.

Praca w komisjach regionalnych prowadzona była według pięciu kryteriów: historycznego, językowego, geograficznego, praktycznego i prawa administracyjnego. Sam tryb postępowania nadania polskiej nazwy miejscowości był więc dwuinstancyjny, nazwa wyłaniała się na szczeblu komisji regionalnej, a potem przechodziła do komisji głównej i tu rozgrywał się dalszy los nazwy, a ministerstwa jedynie zatwierdzały ją. Oczywiście w procedowaniu komisji najważniejszy był aspekt historyczny, który miał kształtować świadomość powrotu Polski na dawne ziemie piastowskie. Przy ustalaniu nazw miejscowości starano się unikać tłumaczenia nazw niemieckich o ile nie była ona uzasadniona merytorycznie lub topograficznie. To kryterium przesądzało o repolonizacji nazwy miasta – Zielona Góra.

Sama nazwa „Zielona Góra" ulegała zmianom.

Osada prawdopodobnie swoją pierwotną słowiańską nazwę zawdzięcza położeniu topograficznemu i właściwości przyrodniczej terenu. Pierwsza wzmianka w dokumencie wydanym w początku XIV wieku przez księcia głogowskiego Henryka jest w języku łacińskim jako „territorio Grunenbergensi" (terytorium Grunenberg). Osadnicy niemieccy przybyli w tym czasie, przetłumaczyli jej nazwę na Grünberg. Ślązak Otto Wolff, w opublikowanym w 1848 r. w Zielonej Górze dziele „Geschichte der Stadt Grünberg in Niederschlesien von ihrer Entstehung bis Einsührung der Reformation" (Historia miasta Grünberg na Dolnym Śląsku od jego początków do wprowadzenia reformacji) pisząc o polskiej osadzie, która nazywała się Zielona Góra, odwołał się przy tym do dokumentu króla polskiego Władysława IV z 1641 r. dla kupców zielonogórskich, w którym użyta została polska nazwa „Zielono Góra". W okresie przynależności Śląska (wraz z Zieloną Górą) do Królestwa Czech pojawiła się nazwa Zelona Hora. Po licznych zawirowaniach w połowie XVIII wieku Dolny Śląsk stał się własnością, najpierw Królestwa Prus a następnie Cesarstwa Niemieckiego. Wówczas obowiązywała do 1945 r. już tylko nazwa Grünberg bądź dla dookreślenia Grünberg in Schlesien.

Repolonizacja nie rozstrzygała jeszcze pisowni nazwy miasta – Zielonagóra czy Zielona Góra. W 1945 i 1946 r. dominowała dowolność pisowni. Dotyczyło to także szacownego grona naukowego, jakim była sekcja onomastyczna Instytutu Zachodniego w Poznaniu, która nakreśliła zasięg terytorialny swoich prac do „środkowego Przyodrza". Obejmowało także powiaty dotąd należące do Dolnego Śląska, a przyłączone administracyjnie do województwa poznańskiego, w tym powiat zielonogórski. Tym samym decyzją administracyjną zniesiono historycznie śląską tożsamość Zielonej Góry, włączając do Ziemi Lubuskiej, do której nigdy nie należała. Pierwsze wyniki pracy sekcji ukazały się w Poznańskim Dzienniku Wojewódzkim nr 12 z 8 listopada 1945 r. jako obwieszczenie Wojewody Poznańskiego zmieniając niemiecką nazwę Grünberg na polską Zielonagóra.

Kwestię nazwy miasta rozstrzygnęło, w oparciu o projekty komisji regionalnej i uchwałę komisji głównej, Zarządzenie Ministrów: Administracji Publicznej i Ziem Odzyskanych z 7 maja 1946 r. o przywróceniu i ustaleniu urzędowych nazw miejscowości (Monitor Polski 1946 nr 44 poz. 85) – podając nazwę Zielona Góra.

O panującym jeszcze chaosie w nazewnictwie świadczą dokumenty z tamtego okresu. Przykładowo: Zarządzenie porządkowe kierownika Grupy Operacyjnej KERM w Zielonej Górze inż. K. Paszyńskiego z maja 1945 r., Fragmenty „Kroniki" prowadzonej przez grupę operacyjną Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów z 10 maja 1945 r., Rozkaz komendanta garnizonu bohatera Związku Radzieckiego, generała gwardii Borysowa z 10 lipca 1945 r. czy też protokół z posiedzenia OKO PPS z 25 sierpnia 1945 r. – sygnowane były „Zielona Góra". Tomasz Sobkowiak 6 czerwca 1945 r. nominowany został na „burmistrza Zielonej Góry". Bywało, że te same instytucje nie były konsekwentne w tym zakresie. Przykładowo: Komitet Powiatowy PPS z 1945 r. miejsce określał jako „Zielona Góra", a późniejsze z 1946 r. jako „Zielonagóra". Podobnie było z napisem na pieczątce Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w piśmie z 6 maja 1946 r.

Sensacyjne zawody piłki nożnej

W niedziele 21 lipca br. o godz. 17.00
na boisku K. K. S. przy ul. Wyspiańskiego

W.K.S. Miedzyrzecz

K.K.S. Zielonagóra

W poniedziałek 22 lipca br. o godz. 16.30
na boisku K.S. Zieloni przy ul. Wrocławskiej

W. K. S. MIĘDZYRZECZ

K.S. ZIELONI

W.K.S. Międzyrzecz – mistrz piłkarski Dywizji, gościć będzie poraz pierwszy w Zielonejgórze

Przedmecz o godz. 14.00 Kujawiak-Razula — II Zieloni

fot. Archiwum

Afisz sportowy z połowy 1946 r.

Pierwsze mapy kolejowe zawierały pisownię Zielonagóra, nota bene także Nowasól (np. Mapa sieci kolejowej R.P. stan na 1.04.1946 r.). Rok wcześniej ukazała się „Schematyczna kolejowa mapa Polski", na której napisano Zielona Góra. W 1945 r. wydany został „Plan miasta Zielonejgóry" ze skorowidzem ulic. Co ciekawe, prostego tłumaczenia niemieckiej nazwy Grünberg dokonano już na mapie Wielkiego Księstwa Poznańskiego, wydanej w Poznaniu w 1843 r. w języku polskim – widnieje nazwa „Zielonagóra".

Nazwa złożona

Metodologia prac zespołów naukowych nad określeniem nazw geograficznych była dwuetapowa. Najpierw historycy i geografowie pracowali nad źródłami historycznymi i mapami zapisów nazw oraz ich ścisłym zlokalizowaniem. Następnie propozycjami tymi zajmowali się językoznawcy, których zadaniem było ustalenie brzmienia i pisowni nazw zapisanych w źródłach.

S. Rospond (językoznawca, członek KUNM) obrazowo określił te prace jako „odgrzebywanie spod grubszego lub cieńszego tynku naleciałości niemieckich". W przypadku Zielonej Góry zdecydować należało, czy zastosować proste tłumaczenie z języka niemieckiego Grünberg na polską nazwę Zielonagóra czy mającą konotacje historyczną Zielona Góra. Dla językoznawcy kwestia wydaje się prosta, a mianowicie mamy tu do czynienia z nazwą złożoną, czyli połączoną z dwóch wyrazów. Wyróżniamy wśród nich zestawienia, czyli dwa wyrazy pisane oddzielnie, przy czym jeden z nich określa drugi, na przykład Nowy Dwór, Stary Sącz, bądź zrosty, czyli nazwy, w których jeden człon jest składniowo zależny od drugiego, na przykład Białystok, Babimost. W pierwszym przypadku nazwy dwuczęściowej, do której zaliczono Zieloną Górę, występuje związek zgody rzeczownika z przymiotnikiem. Wyrazy złożone (tak zwane derywaty złożone) są to wyrazy pochodne, które powstały od dwóch wyrazów podstawowych i w związku z tym zawierają dwie podstawy słowotwórcze – dwa odrębne wyrazy, które tworzą jedną całość znaczeniową. Istotne zróżnicowanie językowe wynika z faktu, iż zrosty nie podlegają odmianie wewnątrzwyrazowej, na przykład mieszkam w Babimoście, jadę do Babimostu. Natomiast inaczej sprawa wygląda, gdy dwuczłonowa nazwa składa się z przymiotnika i rzeczownika. Jeśli oba elementy występują w tej właśnie kolejności, to znaczy przymiotnik poprzedza rzeczownik, to powstaje przymiotnik złożony oraz nazwa mieszkańca zawierająca oba człony nazwy – Zielona Góra – zielonogórski, zielonogórzanin.

fot. Archiwum

Dworzec kolejowy przy ul. Ogrodowej w 1946 r.

Tu też zaszły zmiany

* **Gorzów Wielkopolski** – przed 1945 r. w polskiej literaturze miasto było Gorzewem, Gorzowem nad Wartą lub Kobylą Górą. Pierwsze polskie władze miasta posługiwały się nazwą Landsberg nad Wartą. 2 marca 1946 r. Komisja Ustalania Nazw Miejscowości ustaliła nazwę Gorzów Wielkopolski. W referendum przeprowadzonym w 2000 r. gorzowianie odrzucili usunięcie przymiotnika „Wielkopolski" z nazwy miasta.
* **Kostrzyn nad Odrą** – po drugiej wojnie najpierw miasto nazywało się Kostrzyn, potem Kostrzyn Odrzański. Od 2003 r. obowiązuje obecna nazwa.
* **Słubice** – do 1945 r. była to prawobrzeżna część Frankfurtu nad Odrą, nazywana Dammvorstadt (Przedmieście na Wale). Czy polska nazwa pochodzi od określenia słowiańskiego plemienia Słupian, którzy sąsiadowali z Bieżuńczanami i Żarowianami, brak potwierdzenia. Może od średniowiecznej osady Zulbica? Niektórzy autorzy wywodzą nazwę Słubice od wyrazów „słup" i „ślub".
* **Rzepin** – zaraz po wojnie miasto nazywało się Rypin Lubuski lub Rypin. Było siedzibą władz powiatu rypińskiego (przekształconego w powiat słubicki).
* **Lubsko** – brakuje potwierdzenia, że najstarsza nazwa grodu nad Lubszą to Żemrje. Badacze podają także nazwy Zemsz i Zemno. Zaraz po wojnie miasto nazywało się Żemsz, znajdowało się w powiecie krośnieńskim. W latach 1954-1975 było siedzibą powiatu, obecnie jest w powiecie żarskim.
* **Żary** – leżące na Łużycach miasto miało swoją pierwszą nazwę łużycką Zarow, zapisywaną przez Niemców jako Soraw, potem zgermanizowaną na Sorau. W latach 1945-1946 używano nazw Żuraw, Żóraw i Żarów.
* **Żagań** – w dawnej polszczyźnie miasto nosiło nazwę Żegań, Żegan i Zegan. Tą pierwszą posługiwali się żaganianie do maja 1946 r.

Alicja Błażyńska

Ul. Bohaterów Westerplatte 32

Grünberg szczycił się pięknymi willami. Lekarze, przedsiębiorcy, elita urzędnicza, bogaci kupcy stawiali okazałe domy. Jednym z nich jest dwukondygnacyjna willa, utrzymana w konwencjach stylu historycznego z elementami klasycyzmu, bogato dekorowana ornamentami i detalami architektonicznymi.

Budynek powstał w 1898 roku na zlecenie adwokata i radcy sądowego Alfreda Balckego. Niewiele da się napisać o jego dziejach przed 1945 r. Po wojnie przejęły go Polskie Koleje Państwowe z przeznaczeniem na dom kultury i zakładowe przedszkole. Po zmianach ustrojowych pod koniec XX wieku w części willi pozostał Dom Kultury „Kolejarz". Pozostałe pomieszczenia wynajęli od PKP Elżbieta i Robert Górowscy, gdzie urządzili klub Cafe Borgia. Ówczesny student plastyki Igor Myszkiewicz, obecnie dokumentalista życia artystycznego i propagator dziejów miasta, mówi, że odbywały się tam spotkania i wystawy Galerii Twórców „Galera", prezentującej prace głównie młodych artystów. A gdy brakowało miejsca w Cafe Borgia, twórcy pokazywali swoje prace na korytarzach i na strychu willi. Zanim jednak kierownictwo Kolejarza pozwoliło im zająć dodatkową przestrzeń, plastycy sami musieli uprzątnąć poddasze zawalone różnymi przedmiotami przez poprzednich użytkowników. Na podstawie tego dowiedzieli się, co wcześniej działo się w budynku. Były tam maty i sprzęt używany podczas treningów szermierzy. Były także przedmioty świadczące o tym, że na poddaszu ćwiczyli muzycy i ich zespoły. Po oczyszczeniu poddasza powstała przestrzeń na ekspozycje, pomieszczenie bowiem znajdowało się tuż pod wieżyczką usytuowaną na rogu budynku. Można tam było prezentować duże wystawy i inscenizować performance wymagające większych przestrzeni. Galeria Twórców „Galera" zorganizowała w Cafe Borgia (1999-2002) i na poddaszu Kolejarza (2000 - 2007) 59 wystaw, między innymi cenionej obecnie artystki Basi Bańdy. Wśród tych, którzy tam prezentowali swoje prace, byli m.in. fotografik Marek Lalko, I. Myszkiewicz, grupa Sędzia Główny.

Muzyk i miłośnik Zielonej Góry Jarosław Wnorowski zapamiętał, że w soboty w latach 2009-2011 na parterze Kolejarza odbywały się wieczorki taneczne dla seniorów. Wstęp kosztował 20 zł, każdy mógł przynieść własne jedzenie.

Widok budynku od strony placu Bohaterów *fot. Alicja Błażyńska*

Mimo iż w budynku działo się wiele ciekawego, jego formalny właściciel, czyli Oddział Gospodarowania Nieruchomościami PKP, nie był zainteresowany inwestowaniem. Takie podejście spowodowało, że obiekt niszczał z dnia na dzień. Wyglądało to tak, że PKP chcą budynek dobrze sprzedać i tylko szukają nabywcy. Okazał się nim zielonogórzanin, ceniony przedsiębiorca, miłośnik sztuki Piotr Pudłowski. W 2011 r. willa wymagająca pilnego remontu stała się jego własnością. Nowy właściciel nie ukrywa, że zainwestował sporo pieniędzy, zlecając wymianę m.in. instalacji elektrycznej i sanitarnej, okien i drzwi, podłóg, odnowił sztukaterie znajdujące się w niemal wszystkich pomieszczeniach. Modernizacji doczekała się również piwnica, gdzie powstała ekskluzywna restauracja Czarny Tulipan, specjalizująca się w potrawach kuchni śródziemnomorskiej. Pozostałe wnętrza zostały przeznaczone na wynajem. Wydawało się, że budowla ma za sobą najgorsze czasy, po gruntownym remoncie może błyszczeć tak jak w latach przedwojennych i stanowić przykład troski o zabytek.

Niestety nastały złe czasy. Na początku 2020 r. pojawiła się pandemia. Czarny Tulipan próbował walczyć o konsumentów, po kilku tygodniach musiał zamknąć drzwi, podając na profilu społecznościowym taki komunikat: „Za nami siedem wspaniałych lat […] Z dniem 31 maja 2020 restauracja Czarny Tulipan zostaje zamknięta. Dziękujemy i mamy nadzieję, że do zobaczenia wkrótce".

Szkoda tego miejsca, jego właścicieli i gości. Zielonogórzanie lubili tam bywać. W mojej pamięci zachowało się wspomnienie z kameralnego spotkania z Bohdanem Butenką po otwarciu wystawy prac grafika i ilustratora, autora komiksów i przygód Gapiszona, Kwapiszona, Gucia i Cezara. Wystawę zorganizowano w muzealnej sali przy pomocy Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry „Winnica". Tuż po wernisażu zaprosiliśmy Mistrza do Czarnego Tulipana i przy białym winie słuchalismy opowieści o jego życiu, o sztuce i czasach, kiedy, jak pisał Wojciech Młynarski, „Truskawki z Milanówka / na talerzykach Rosenthala / przysiadły od hołoty z dala / wśród śmietankowej mgły".

Jakie będą dalsze losy najpiękniejszego budynku przy ul. Bohaterów Westerplatte? Na razie można go podziwiać tylko z zewnątrz. Mam jednak nadzieję, że wspaniałe sztukaterie, żyrandole, oryginalny kominek w narożniku reprezentacyjnego gabinetu czy nastrojowe piwnice znajdą dobrych najemców i będzie można znowu odwiedzać te piękne wnętrza.

Anna Błaszczak

O zawiłościach natury ludzkiej

Mrok spowija wszystkie uliczki, a latarnie starają się dotrzymać mu towarzystwa w tę mroźną noc. Niebo jest bezchmurne, ale tu i tak nie widać gwiazd. Tutaj nigdy nie widać gwiazd, jest zbyt jasno i czują się zazdrosne, że wolimy napawać się widokiem wielkich bilbordów niż ich naturalnym pięknem. Błyskają kierunkowskazy i długie smukłe łuny jaskrawego światła, pewnie patrol policji stoi tuż za rogiem. Księżyc spogląda z dezaprobatą, jakby zaczęło go dziwić nasze postępowanie. Drzewa stoją w osamotnieniu. Nieliczne przetrwały wojnę z postępem i jako świadkowie przeszłości tkwią zaparcie w jednym miejscu, głosząc swe mądrości i bezinteresownie ofiarowując nam życiodajny tlen, od którego jesteśmy już uzależnieni.

Idę szybko, patrząc jedynie na czubki swoich butów. Nie lubię spoglądać na twarze ludzi, a w szczególności w oczy. Zawsze można w nich ujrzeć duszę człowieka, a nie zawsze jest ona szczęśliwa, tylko krzyczy w szale rozpaczy. Może w cudzych oczach widzimy nasze odbicie i to tak mnie przeraża? Jest cicho. Nikt nie rozmawia, nie wprost. Tradycyjne rozmowy przeszły już do lamusa, teraz przechodzimy do wyższych poziomów i powierzamy nasze sekrety internetowym posłańcom, którzy wyfruwają w niewidzialnych rydwanach z naszych elektronicznych przyjaciół i ruszają w daleki świat do innych bliskich przyjaciół. W oddali słychać szczekanie psa, udało mu się wyprowadzić właściciela na spacer, reszta tkwi za karę obok gniazdka, uwiązana kablami ładowarek.

Strumyki z grafitowej kostki odchodzą od czarnego głównego potoku i rozgałęziają się pomiędzy wysepki z wielkiej płyty. Jedna z nich jest moim celem, miejmy nadzieję, że wkrótce moje aspiracje nieco się podwyższą. Żywa szara bryła, która zmienia się z każdym moim krokiem. Przybiera na masie, gargantuiczne monstrum, w którego wnętrzu spoczywa mały ekosystem powiązany ze sobą drobnymi żyłkami i przewodami. Solidny zbrojeniowy szkielet utrzymuje dożywotnie kredyty na swych barkach. Błyszczą się oczy potwora przysłonięte roletami i zasłonami. Kotłuje się w jego organach. Skrywają się tam drobne formy życia przed innymi formami, przed światem. Stronią od siebie, skradając wymuszone dzień dobry z ust mijanych na półpiętrach. Każde z pięter jest jak inna opowieść, inny etap. Jak w życiu.

Parter. Rodzimy się. Czasem nie z miłości, lecz przymusu, traumy, smutku. Niespodziewanie lub wręcz przeciwnie w upragnionym terminie, do którego dni były odliczane z niecierpliwością. Czasem po policzkach płyną łzy, jednak jesteśmy zbyt mali, aby odgadnąć, których to emocji były one oznaką. Jedna z niewielu chwil, kiedy jesteśmy równi. Czy aby na pewno? Może bliżej nam do wyjścia i zakupy z łatwością wniesiemy, ale widok rozpościerający się z ostatniego piętra dalej będzie naszym upragnionym. Sąsiadujące bryły również kuszą swymi odcieniami szarości i zachęcają do rychłej przeprowadzki.

Pierwsze piętro. Dorastamy, idziemy do szkoły. Poznajemy przyjaciół, którzy, mamy nadzieję, będą z nami na dobre i na złe. Oni jednak wolą tylko dobre. Potykamy się o własne buty i poznajemy miękkość chodnika. Mylimy autobusy i odkrywamy, że nie wszystkie jadą do Rzymu. Pomału zaczynamy odczuwać presję wyższych pięter, która zaciska pętlę na naszej szyi. Strach przed porażką, osamotnieniem, życiem.

Drugie piętro. Pojawiają się pierwsze uczucia względem kogoś innego niż my sami czy pluszowe misie, na które pomału patrzymy już tylko z sentymentem i nostalgią. Zaczynamy przywiązywać się do osób, które wybrały inną drogę niż ta nasza. Ścieżki się rozgałęziają, a my i tak pamiętamy, może i kochamy, choć to pewnie wyolbrzymione. Czujemy smutek za tym, co przeminęło i ostało się jedynie w naszej pamięci. Powracamy po latach ze świeczką w dłoni na pogorzeliska wspominać żar buchających płomieni.

Trzecie piętro. Ktoś trzasnął drzwiami, aż echo zapiszczało i w panice zbiegło po schodach. Teraz mijamy się na ulicach w drodze do przyszłości, którą nam piszą. Kto pisze? Mam nadzieję, że ktoś na tyle mądry, aby nie wcisnąć mnie do pracy za biurkiem, bo tego nie cierpię.

Czwarte piętro. Dostaje pomału zadyszki i zastanawiam się, czy jest sens iść dalej. To są te momenty, kiedy człowiek odkrywa zalety współczesności i porzuca zdrowy tryb życia na rzecz windy. Blaszanego tłoka, który we wnętrzu betonowego giganta transportuje małe trybiki. Środek jest ozdobiony piktogramami i innymi hieroglifami. Ludzkość ma sentyment do przeszłości. Przyglądam się im badawczo niczym archeolog na wykopaliskach. Marzyłam o tym w dzieciństwie. Grzebać w piaskach pustyni w poszukiwaniu arki przymierza, jednak mieli dla mnie inny plan, może to i lepiej, z moją arachnofobią to nie wyszłoby na dobre. Zazwyczaj snuję dwa podstawowe wnioski. Ludzie mają wielkie upodobanie do sztuki przedstawiającej męskie przyrodzenie i są niezwykle zaskakującymi istotami. Chyba nigdy nie przestaną mnie zadziwiać. Piękni, a jednocześnie odrażający. Mądrzy, a zarazem głupi. Nietuzinkowi, a jednak pospolici. Nie rozumieją lub nie chcą rozumieć, gdy mówi się wprost, więc cóż się dziwić, że i ja przestałam. Zamykają się w czterech ścianach i tkwią tam od zmierzchu do świtu, skrywając się przed mrokiem, który przynosi często chmurne myśli, te przed którymi uciekamy za dnia. Zaprzeczają w imię dumy i kłamią z troski. Śmieją się przez łzy i ślepną, widząc bliźniego.

Między piątym a szóstym piętrem zawsze przypomina mi się pewien sen, dość osobliwy, może dlatego tak zapadł mi w pamięć. Stałam w równym rzędzie tak jak ci przede mną i za mną. Stałam tak jak oni, nie pytając się o nic, w końcu ten ciąg ludzkich ciał musiał się gdzieś kończyć, dokądś prowadzić. Przecież nikt by nie stał tak bez celu. Stałam i czekałam, aż nadejdzie moja kolej. Kolej na co? Dziecięca ciekawość nie daje o sobie zapomnieć i zmusza do porzucenia dawno narzuconych etykiet. Coś jednak blokowało moją głowę i nie mogłam się rozglądać, by choć odrobinę uszczknąć świata po bokach. Kręciłam gałkami ósemki, tak że niewiele brakowało, a wypadłyby i potoczyły w tylko sobie znanym kierunku.

Wystraszyłam się, że przez nadmierną ciekawość stracę tak ważny zmysł, a pozostałe niewiele mi pomogą w tej chwili opresji. Miałam wrażenie, że sekundy to godziny, a minuty to dekady. Nudziło mi się niemiłosiernie, ale wolałam nie główkować, bo za każdym razem, gdy myśl kiełkowała w mojej głowie, czułam przeraźliwy ból, który paraliżował i sama wyrywałam chwasta. Jak rozbitek dryfowałam w poszukiwaniu choćby skrawka suchego lądu. Znalazłam upragnioną ulgę w obserwacji istoty stojącej metr przede mną. Była średniego wzrostu, średniej postury i średnio zainteresowana swoim losem. Z czasem przyjacielem stał się głód, jednak inny niż normalny i doskwierający częściej niż zwykle. Inni nie pytali o jedzenie to i ja nie pytałam. Może to tylko moja fanaberia i będę tym kogoś niepotrzebnie obarczać. Jednak czułam się coraz słabsza, tak jakby tajemnicza choroba trawiła mnie od środka. Pustka rozlewająca się po wszystkich wnętrznościach i z władzą absolutną zagarniająca wszystko dla siebie była silniejsza. Jak walka Ikara i odmętów mrocznych Słońc podziemia, tylko ja dawno przegrałam skrzydła w karty i już nie mam jak lecieć. Tonęłam, choć stałam po szyję w suchej rzeczywistości. Wtedy spostrzegłam. Kolejka zmalała i bez przeszkód można było dostrzec jej początek, już tylko kilka osób dzieliło mnie od upragnionego celu. Dotarłam! Jednak byłam poniekąd zawiedziona. Myślałam, że będzie to coś wyjątkowego jak pojawienie się Mikołaja z prezentami albo motylki w brzuchu na widok ukochanej osoby. Zobaczyłam przed sobą gruby plik kartek zapisanych drobnym druczkiem. Po chwili nie stałam już w rozległej kolejce wieczności, a w szarej, miejskiej dżungli. Te same wysepki z wielkiej płyty i asfaltowe rzeczki. Ćwierkanie starych spalinowych silników i ryk wygłodniałego tłumu, który pędzi do pracy, zasilając swoje baterie rozpuszczalną z mlekiem lub czarną z prądem. Ludzie byli mdli, pozbawieni emocji i jakiegokolwiek wyrazu. Poruszali się sztywno niczym marionetki wodzone za niewidzialne dla ludzkiego oka sznurki. Wszyscy trzymali przed sobą kartki i co parę sekund wykreślali kolejne wersy. Ze zdziwieniem spojrzałam na swoje. Był to plan, bardzo szczegółowy mojego życia. Wszystko było rozpisane co do minuty, każdy oddech, mrugnięcie, decyzje, plany na przyszłość. Emocje w osobnej rubryce podzielone na te, które wypada okazywać, a które są niedopuszczalne. Nie otrzymałam zezwolenia na miłość, za to podarowano mi kupon na loterię, może tam będę mieć więcej szczęścia. Jaskrawy tusz dawał wskazówki odnośnie do ubioru, gestów, mimiki i szybkości stawianych kroków.

rys. Jacek Frąckiewicz

Przytłaczający ciężar i strach spadł na mnie nieoczekiwanie i wgniótł w ziemię. Z paniki wpadłam w histerię i mogłam być pewna, że wyrobiłam normę wdechów na kolejne cztery lata. Co, jeśli to sprawdzą? Poczułam, że wszyscy patrzą się na mnie palącym wzrokiem i wytykają palcami. Spojrzałam w te puste oczy, które każdy nawet najmniejszy ruch konsultowali z posiadaną instrukcją. Jednak takiego odchylenia nie było w ich grafiku. Nie byli na to gotowi. Moim zdaniem nic nie tracili, nie było w nich już życia. Nie wiem, co to było, ale przepełniał to mrok i zgnilizna, która trawiła każdego z osobna. Nikt nie krzyczał, gubiąc rękę, tylko maszerował dalej wpatrzony w kartki. Zgniotłam makulaturę trzymaną w rękach i cisnęłam nią, jak najdalej mogłam, tak aby mieć pewność, że w żaden magiczny sposób nie będzie chciała powrócić. Marionetki wytrzeszczyły gałki tak, jakby właśnie wariat wygłosił mowę o fizyce kwantowej albo innych dziwach. Po chłodnej kalkulacji ruszyły, dalej wykreślając kolejne linijki tekstu.

Ocknęłam się z zamyślenia i ujrzałam, że ktoś się dołączył do mojej podróży. Wysoka kobieta bez twarzy. Tak przynajmniej wygląda, stoi do mnie tyłem, ukazując jasne, kręcone pukle włosów. Czerwone szpilki, ołówkowa spódnica i biała koszula zapięta pod samą szyję. W ręce telefon-życie. Pewnie nawet nie zauważyła, że nie jest sama. Uparcie stoi w jednym miejscu, jej celem jest ostatnie piętro. Im dłużej się jej przyglądam, tym lepiej już rozumiem. Ten koszmar to nasze życie, które przelewa się nam między palcami. Spędzone w klatce zbudowanej przez tajemniczych budowniczych, którzy decydują o tym, kim możemy być. A wszystko to dlatego, że żyjemy w śmiesznym świecie, w którym ludzie nie dopuszczają do siebie myśli, że każdy jest inny i ma do tego prawo. Prawo do bycia szalonym, ułożonym, ciekawskim lub po prostu marudnym. Zamykamy się w zbrojach, zakładamy maski, mamy ich już całe kolekcje. Tylko tak czujemy się bezpiecznie. Bronimy się przed światem, przed sobą. Płaczemy w ciszy, aby nikt nas nie usłyszał. Pudrujemy twarz przekrwioną od zmartwień i goryczy. Myjemy

ręce, aby krew ściekająca z ran nie ubrudziła świeżo upranych koszul. Patrzymy się, ale nie chcemy niczego dostrzec. Czujemy, jak środki przeciwbólowe zaczynają działać i odcinają nas od rzeczywistości. Zakładamy słuchawki, wsłuchani w listy największych przebojów, głusi na krzyk rozpaczy. Chcemy smakować życie, ale czujemy jedynie żółć. Używamy perfum, aby stłumić swąd zgnilizny.

Żyjemy szybko. Rodzimy się szybko i umieramy zbyt szybko. Kim my tak naprawdę jesteśmy w tej gonitwie? Kim ja jestem? Drobnym trybikiem wielkiej maszyny? Bryłką mokrej gliny i jednego promienia skradzionego z korony Słońca? Wyciosanym pniem jesionu? Garścią chromosomów, zasad azotowych czy innych chemicznych związków? Kruchą istotą w swej drobnej formie, wszak jak kości powleczone mięśniami i skórą mogą równać się skale, która była miliardy lat deptana, szargana szponami wiatru, głaskana gromami i ulewami czy palona przez słońce. Człowiekiem. Prostym, a jednak złożonym w swojej naturze. Pełnym skrajności i zaprzeczeń. Pięknym i odrażającym zarazem. Kochającym i nienawidzącym w tym samym momencie. Heroicznym a tchórzliwym. Wyjątkowym pod wieloma względami. Niedoskonałym w doskonałości.

Ostatnie piętro. Zawsze panuje tu największy bałagan, tak jakby fakt, że mieszka się tak wysoko był argumentem na wszystko i automatycznie zezwalał na wieszanie prania na klatce schodowej. Słychać rozmowy zza drzwi, inne niż na parterze. Spokojne, wyważone, mówione z pozorną mądrością. Tutaj także ktoś płacze, jednak nie mogę odgadnąć emocji, jakie się z tymi słonymi kroplami kryją. Nikt się nie śmieje i nie żartuje, tak jakby ostatnie piętro zobowiązywało do porzucenia zwyczajów nisko-piętrowych. W rogu jest podwieszona metalowa drabinka, a na jej końcu ciężka pokrywa. Nie jestem siłaczem, mogę wyolbrzymiać. Nie wolno jej otwierać, jednak dzisiaj nie bratam się z komunikatami na pomarańczowych tabliczkach. Mam wrażenie, że próbują mnie zastraszyć, a nie ostrzec, to wielka różnica. Ślepnę w ciemności, oswojona od małego z neonowymi żarówkami, jednak i do tego człowiek jest się w stanie przyzwyczaić. Mroźny wiatr rozwiewa moje włosy i składa czułe pocałunki na mojej skórze, którą momentalnie przechodzi fala dreszczy. Pomału skradam się do wystającego ponad fasadę murka, nie chcę, aby uciekł i zostawił mnie samą. Dziś tylko na jego towarzystwo mogę liczyć. Jak zawsze chłodny, bez emocji. Wiem, że tylko gra takiego zimnego drania, a tak naprawdę rozsypuje się z każdym dniem. Siadam i spoglądam w dal. Miasto mieni się tysiącami bilboardów, reklamującymi pastę do zębów, środki na problemy gastryczne, drogą biżuterię i lepsze życie. Pozorna cisza przerywana jest wyciem karetek i piskiem klaksonów. Oczy betonowych potworów pomału gasną. Otworzą się dopiero jutro, a z paszczy uwolnione trybiki ruszą napędzać kolejne maszyny, aby zmęczone wrócić przed zmrokiem do bezpiecznej przystani.

Myślę sobie w duchu, że na parterze jest lepiej. Bliżej do wyjścia i zakupy łatwiej wnieść. Widok na ostatnim piętrze wcale nie jest taki cudowny, a po drodze człowiek dostaje zadyszki. Co tu zrobić, gdy windy zabraknie? Zamieszkać na półpiętrze? Nie rozumiem, dlaczego tak nam do tego spieszno. Do brudów schnących na klatce? Rozmów bez wyrazu? Głuchego śmiechu i gromkich łez? Tutaj przecież także nie widać gwiazd.

Tadeusz Charmuszko

Zielona Góra

Wieków osiem
Ma w nosie,
Prawa miejskie
Lat siedemset.

Lokatorka

Wesoło po murach
Podskakuje sroka,
Gdyż Zielona Góra
Wpadła jej do oka.

rys. Izabela Sak

Wiosna

Ledwo pierwszy komar użre
Całe miasto dyszy żużlem.

Kropla historii

Złota Łącza
Ją wysącza.

Burza

U zielonogórzanki
Jest bez wody i szklanki.

Na fali

Kabareciarze
Albo winiarze

Małgorzata Mikołajczak

Pretekst do opowieści o mieście średniej wielkości

Wydana w 2021 roku powieść Alfreda Siateckiego „Szwindel w Grünbergu" otrzymała Lubuski Wawrzyn Literacki w kategorii proza.

Czytelnicy lubuskich powieści kryminalnych dobrze wiedzą o tym, że miejsce, w którym żyją, nie jest bezpieczną arkadią. Kryminał regionalny, rozwijający się w ostatnich latach, zmienił lokalną przestrzeń, naznaczył ją piętnem zbrodni. A jeśli morderca czai się za każdym rogiem i znajomą okolicę przenika aura podejrzeń, to czy zaskoczy nas jakieś przestępstwo? Przekręt w Zielonej Górze zapewne nie zrobi wrażenia, a… szwindel w Grünbergu?

A. Siatecki, autor „Szwindla w Grünbergu" i nestor lubuskiej powieści kryminalnej (jego pierwsza książka tego typu, zatytułowana „Gość z volkswagena", ukazała się w 1992 r., na długo zanim gatunek regionalnej powieści kryminalnej zaczął być popularny i zanim nastąpił jego rozkwit na gruncie lokalnym), tym razem zaproponował czytelnikom podróż w czasie. Sięgając po formułę kryminału retro, osadził akcję utworu w Grünbergu.

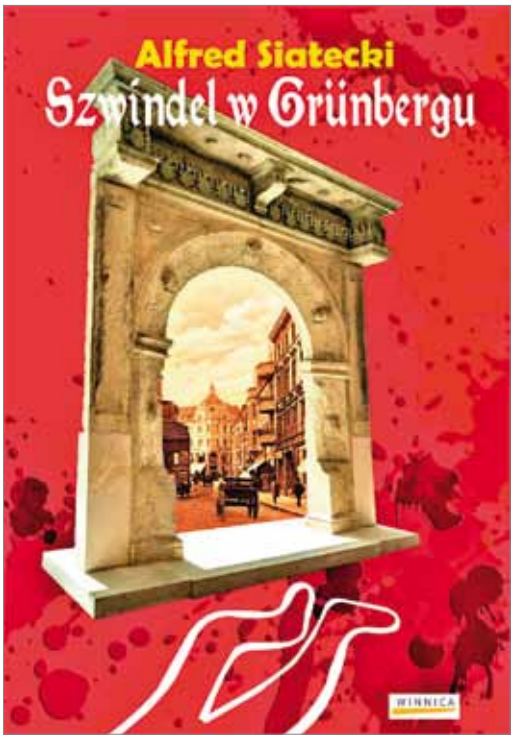

Alfred Siatecki, „Szwindel w Grinbergu", Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica", Zielona Góra 2021, 280 s.

Jest rok 1922, trwają przygotowania do obchodów 700-lecia miasta. Mimo że panuje gospodarczy kryzys i z dnia na dzień przyspiesza inflacja, lokalne władze planują godnie uczcić święto i między innymi zorganizować mistrzostwa Europy w zapasach. To właśnie tych zawodów dotyczy tytułowy szwindel, z nimi wiąże się również kryminalna zagadka – jej bohaterem jest, urodzony w Grünbergu, dwumetrowy zapaśnik Josef Kalihack, którego poznajemy w pierwszej scenie. Jednak ani tytułowy przekręt, ani dwa morderstwa, ani dwa (jedno ciężkie, drugie lekkie) pobicia nie przesadzają o atrakcyjności książki. Kryminalna fabuła jest tu jedynie pretekstem, by opowiedzieć o średniej wielkości mieście, leżącym w połowie drogi między Berlinem i Breslau, „żyjącym – jak pisze autor – z wina, sukna i Beuchelta".

Walorem powieści jest realistyczna panorama i szczegółowo oddane topograficzno-obyczajowe realia. Razem z bohaterami przemierzamy „ocienioną koronami lip Bahnhofstrasse", odwiedzamy hotel Schwarzer Adler, wstępujemy do kościoła Zum Garten Christi, idziemy na kolację do Wiener Café... Nazw jest dużo więcej. Na końcu książki znajdziemy wykaz wszystkich pojawiających się tu toponimów i ich polskich odpowiedników, a dzięki temu „Szwindel w Grinbergu" może pełnić rolę przewodnika po przedwojennej Zielonej Górze – nie tylko po jej topografii, ale też historii. Zarysowane w powieści tło kulturowo-historyczne sprawia bowiem, że wędrówkom w przestrzeni towarzyszy podróż w głąb dziejów i interesująca opowieść o Tadeuszu Kuntzem, Otto Juliuszu Bierbaumie, Wilhelmie Juliuszu Foersterze i innych, związanych z Grünbergiem ludziach sztuki, polityki, nauki.

Wśród tych ostatnich jest Hugo Schmidt, profesor w szkole przy Lange Gasse, który, odkąd zamieszkał w Grünbergu, pisze odkrywcze teksty o przeszłości miasta. „Nie ma lepszego badacza dziejów i przy tym popularyzatora wiedzy historycznej" – powiada o nim jeden z bohaterów, podkreślając wspaniałe pióro, dociekliwość i lekkość narracji badacza. H. Schmidt, któremu narrator parokrotnie udziela głosu, jest autorem tysiącstronicowego dzieła „Geschichte der Stadt Grünberg, Schlesien" i wątek tej kroniki, przygotowanej na siedemsetlecie miasta, parokrotnie powraca na kartach powieści. Wraz z nim obok zagadki kryminalnej pojawia się inna zagadka, związana z zaginionym aktem lokacyjnym.

„A jeżeli za sto lat ci, którzy będą szykowali się do świętowania ośmiu wieków miasta, zapytają, gdzie jest akt lokacyjny lub inny dokument poświadczający, że w 1922 r. mieliśmy prawo urządzić huczne obchody siedemsetlecia Grünbergu (…)?". Pytanie, które zadaje jeden z bohaterów, apeluje do naszego „tu" i „teraz", podobnie jak ukazane w powieści przygotowania do jubileuszu. Książka A. Siateckiego przemawia właśnie przez tego rodzaju aktualizacje i pozwala odnaleźć w Grünbergu z początków XX wieku atmosferę podobną do tej, która panuje w Zielonej Górze szykującej się do osiemsetlecia.

„Szwindel w Grinbergu" nie jest typowym kryminałem. Nie tyle straszy czytelnika, co go zaciekawia. Dlatego w trakcie lektury skupiamy się nie na tym, kto zabił. Znacznie ciekawsza (i ważniejsza) jest konfrontacja z miejscem i jego udane literacko ujęcie, deskrypcje topograficzne, wątki kulturowo-obyczajowe, a także – ożywające za sprawą tej książki i organizujące wyobraźnię zbiorową – sentymenty i resentymenty. Te walory przesądziły o nagrodzeniu najnowszej powieści A. Siateckiego Lubuskim Wawrzynem Literackim.

Robert Rudiak

Immersyjność, czyli optyczne zanurzanie w rzeczywistości

Natalia Haczek to zielonogórska debiutantka, która na salony poetyckie wkroczyła odważnie tomem wierszy „Głód", z miejsca udowadniając, że w poezji czuje się doskonale, w 40 utworach wyrażając siebie i własną, nietypową optykę postrzegania dookolnego świata.

Pierwsza myśl, jaka pojawiła się po lekturze wierszy N. Haczek to immersja, czyli literacka próba „zanurzania" się w siebie i zarazem „pochłaniania" rzeczywistości. Ale to też, trzymając się definicji, „wypełnienie przestrzeni między przedmiotem a pierwszą soczewką obiektywu mikroskopu przezroczystą cieczą", co też ma znaczenie w poezji N. Haczek, która nie tyle obserwuje, co empirycznie bada i opisuje dookolną rzeczywistość, którą zarazem dogłębnie penetruje, eksploruje i infiltruje na wszelkie sensualne sposoby.

Owo „zanurzanie" autorki jest widoczne w wielu tekstach, w których kobieta występuje jako podmiot liryczny i często mówi w czasie teraźniejszym w pierwszej osobie liczby pojedynczej: „zatapiam", „zabieram się", „opuszczam", „dostrzegam", „nasuwam", „zaczynam", „przebijam się", ale zdarzają się również teksty, kiedy podmiot mówi w liczbie mnogiej, przemawia albo w imieniu pary kochanków albo wypowiada się własne „ja" złączone z drugim „ja" (druga osoba we mnie), np. w wierszu „Obca", „Upał", „Kolacja", „Poranek II" i „Spacer II".

Poetka skupia dużą uwagę na detalach, drobiazgach i ich opisie, niemal jak Marcel Proust w „Poszukiwaniu straconego czasu", dlatego w utworze „Perspektywa" mówi: „zupełnie zapomniałam, że zwiedzam rzeczywistość". A czyni przeważnie to w kontekście przedmiotów, czynności, sytuacji nastrojowych, jak i części ciała. Stąd często je wymienia, np.: dłonie, usta, nozdrza, oczy, skórę, naskórek, spojrzenie, westchnienie itp. Można odnieść wrażenie, że poetka rozczłonkowuje realność, rozdziera czas, ćwiartkuje przedmioty, odejmuje zmysły i organy, kroi na coraz mniejsze części i skrawki niczym Hans Bellmer swoje lalki, i przygląda się, sprawdza, co jeszcze z nich żyje, co ocalało, co jeszcze funkcjonuje. I wtedy mówi, że pragnie „usłyszeć coś swojego", że „nadeszła pora powrotu do osobności".

Poetka niejako dokonuje wiwisekcji przedmiotów, obserwuje realność i analizuje materię, i to, co dzieje się wokół niej. Świat odbiera organoleptycznie i osmologicznie, a więc sensorycznie (zapach, widok, temperatura, dotyk, puls) np. uczucia miękkości, wilgotności, śliskości albo zimna i ciepło. Autorka dzieli więc czas na ten przed i po jej dorosłości, a podmiot liryczny egzystuje w otoczeniu przedmiotów, które też zdają się żyć własnym zegarem biologicznym, jak w utworach „W mieście" czy „Powrót". Czas dzieli tutaj na pory dnia i czynności (nocna wizyta, odjazd, ruch pociągu) albo dokonuje konkretnych opisów miejsc, w których toczy się życie podmiotu np. kuchnia, pokój, peron, apteka, brzeg, sklep, kawiarnia, ulice, chodniki itd.

Świat skonstruowany na własny użytek N. Haczek to świat chwilowości, z jednej strony „poruszany", świat westchnień, tlenu, ciszy lub szeptu, stukotu i hałasu, popiołu, kurzu, krwi, kropel deszczu, a z drugiej „kostnienia" i „duszności", co może przywołać na myśl podobieństwa do „Mdłości" Jeana P. Sartre'a.

Poszukując wartości poetka błądzi po świecie relatywizmu, względności, pozorności i własnych projekcji, stąd jawi się on jej jako chaos, niepewność, nieuchronność i niewiadoma, jako egzystencjalna bojaźń i „drżenie" jak u Kiergekaarda, autora „Albo-albo", gdzie nakreślił prawa sprzeczności sfery etycznej z estetyczną, rozważania bliskie zielonogórskiej poetce. Dlatego też płaszczyznę poetycką buduje ona na zasadzie przeciwstawień i opozycyjności, znaczeniowych przeciwieństw i antynomii: obecny-nieobecny, nasuwanie-odzieranie, zatapiam-wypływam, obcy-tożsamy, razem-osobno, żywy-skostniały, rzeczywisty-wyobrażony (urojony).

Jednak najciekawsze zdają się te wiersze mówiące o tytułowym głodzie, o potrzebie miłości, o jej nieustannym poszukiwaniu czy to w realu, czy w świecie wirtualnym. Podmiot spotyka, obserwuje i dogłębnie przygląda się nowo napotkanym osobom, które bądź to cieleśnie, bądź to platonicznie czyni obiektem swoich westchnień, pragnień i pożądań. Obok miłości i aprobaty podmiot szuka też własnej tożsamości, niekiedy chce ją formalnie porzucić, uwolnić się od niej, jednak wie, że nie można uciec od własnego jestestwa, ale dzięki takim poszukiwaniom zanurza się w spontaniczne życie, chce poczuć jego różnobarwność, wielowymiarowość i nieprzewidywalność, jak w tekstach „Spacer I" i „Spacer II", gdzie pragnie odnaleźć własną linię życia i poznać autentyczne uczucia i doznania.

Trudno zatem wyrokować jak potoczy się rozpoczęta dziś droga literacka N. Haczek, ale przy odrobinie konsekwencji poetka ma szansę stworzyć indywidualny, rozpoznawalny styl swojej poetyki.

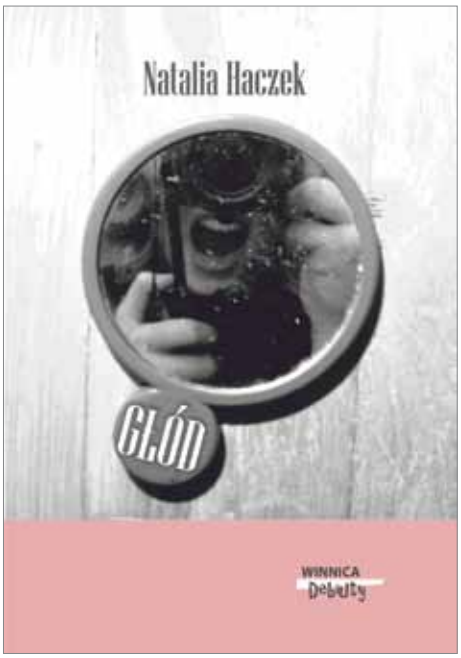

Natalia Haczek, „Głód", wyd. Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica", Zielona Góra 2021, s. 64.

Jubileuszowe publikacje

W 2021 roku siedemdziesiąte urodziny prof. Czesława Osękowskiego jego liczni przyjaciele i współpracownicy ze środowiska akademickiego uhonorowali pamiątkową publikacją. Jubilat osobiście spisał najważniejsze i najbardziej znaczące wydarzenia ze swego życia, a ta autobiografia została uzupełniona tablicą gratulacyjną, na której znalazły się nazwiska wielu osób, w tym tych związanych z różnymi zielonogórskimi instytucjami, a także badaczy, zarówno z Uniwersytetu Zielonogórskiego, jak i pochodzących spoza Almæ Matris profesora. Przedstawione zostały obszary badawcze, jakimi zajmuje się Cz. Osękowski, a mianowicie: Ziemia Lubuska, pogranicze polsko-niemieckie, Ziemie Odzyskane oraz najnowsza historia Polski. Kolejna część tomu zawiera wybrane artykuły profesora, dotyczące przede wszystkim współczesnej historii Ziemi Lubuskiej. Pracę zamykają obszerna bibliografia wybranych dzieł jubilata, a także dokumentacja fotograficzna ukazująca znaczące momenty w życiu zawodowym Cz. Osękowskiego.

Kolejną ważną publikacją, wpisującą się w obchody jubileuszu 800-lecia naszego miasta, ale i 100-lecia muzeum w Zielonej Górze, jest album „Zielona Góra w sztuce". Jest on swoistym podsumowaniem monumentalnej wystawy czasowej o tym samym tytule, otwartej w lutym 2022 r. w Muzeum Ziemi Lubuskiej. Prezentowała ona miasto w okresie XVIII-XXI wieku, ujęte przez artystów na litografiach, grafikach, obrazach malowanych w różnych technikach, fotografiach. Dzieła te pochodziły ze zbiorów muzealnych, bibliotek uniwersyteckich we Wrocławiu i Winnym Grodzie, książnicy Norwida oraz Biura Wystaw Artystycznych i muzeum w Lesznie. Spory zbiór stanowiły obiekty z kolekcji prywatnych. W albumie zawarto blisko 160 reprodukcji prac 87 autorów, a ikonografia ta została wzbogacona esejami Tomasza Kowalskiego „Artystyczne przedstawienia Zielonej Góry od XVIII wieku do 1945 roku" oraz Marty Gawędy-Szymaniak i Jacka Gernata „Góra wizji. Zielona Góra w sztuce po 1945 roku".

Muzeum w Zielonej Górze powstało w 1922 r., kiedy miasto świętowało 700-lecie. Jednak początki jego kolekcji sięgają 1908 r., wtedy Albert Severin przekazał miastu kilka zabytkowych przedmiotów. Pierwsze muzeum było przy Neustadtstrasse (obecnie kościół polskokatolicki), drugie przy Schulstrasse (ul. K. Lisowskiego) i trzecie jako Muzeum Ziemi Lubuskiej przy al. Niepodległości. Z tej instytucji wywodzą się samodzielne muzea: etnograficzne, archeologiczne i wojskowe. Przy al. Niepodległości znajduje się m.in. Muzeum Wina, Muzeum Dawnych Tortur, Muzeum Tożsamości, galerie malarstwa. Do najciekawszych zbiorów historycznych należą: plan Zielonej Góry z 1784 r., rękopis z procesów sądowych dotyczących tzw. czarownic z XVII w., kamienie hańby z XVI w. Sztuka dawna to przede wszystkim pamiątki sakralne. W kolekcji sztuki współczesnej znajdują się dzieła niemal wszystkich najbardziej znanych polskich malarzy. Rarytasem jest „Dziewczynka ze słonecznikami" Olgi Boznańskiej.

AP-W, AS

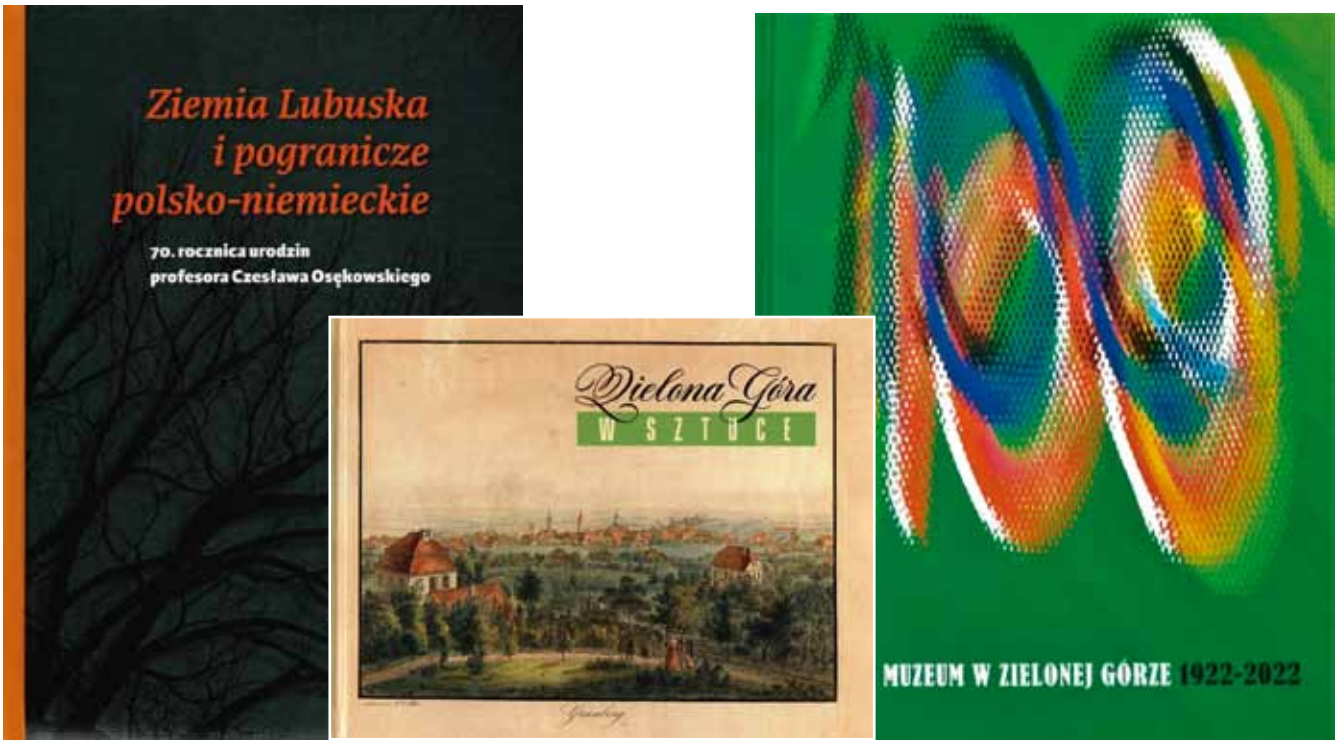

„Ziemia Lubuska i pogranicze polsko-niemieckie. 70. rocznica urodzin profesora Czesława Osękowskiego", red. R. Skobelski, Zielona Góra 2021, 280 s.

„Zielona Góra w sztuce", red. L. Kania, M. Gawęda-Szymaniak, J. Gernat, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 2022, 228 s.

„100 lat muzeum w Zielonej Górze 1922-2022. Skarby kolekcji", red. L. Kania, A Polak-Woźniak, Zielona Góra 2022, 200 s.

Edyta Bembenek-Jung

Jeszcze niedawno był to dziennik nr 1

Pierwszy numer w całości redagowanej i wydrukowanej na miejscu „Gazety Zielonogórskiej" ukazał się po dwóch latach z okładem po utworzeniu województwa zielonogórskiego, 1 września 1952 roku Po reformie zwiększającej liczbę województw z 17 do 49 i likwidacji powiatów w 1975 r. stała się „Gazetą Lubuską".

Województwo zielonogórskie (duże) powstało w połowie 1950 r. Herbert Lipiński, pierwszy kierownik redakcji „Gazety Zielonogórskiej", tak wspominał: „Wiosna 1950 r. Naczelny redaktor »Gazety Poznańskiej«, w której wówczas pracowałem, zwołał naradę kolektywu dziennikarskiego (...) Poszukiwani byli ochotnicy, którzy mieli przenieść się do Zielonej Góry, zorganizować tutaj »Gazetę Zielonogórską« – oczywiście jako mutację terenowej »Gazety Poznańskiej« (...) Zgłosiłem się na ochotnika".

Ponad dwa lata zajęło skompletowanie zespołu redakcyjnego i utworzenie drukarni gazetowej w Zielonej Górze. Drukarz Franciszek Naraszewski tak zapamiętał noc z 31 sierpnia na 1 września" „Pierwszy numer »Gazety Zielonogórskiej« został wydrukowany w naszym wydziale gazetowym Zielonogórskich Zakładów Graficznych, w objętości 6 stron, całkowicie złożony, złamany, skalandrowany, podwójne płyty i gotowe do założenia maszynie rotacyjnej".

Pierwsza redakcja mieściła się przy ul. Żeromskiego. „Pomieszczenie było dość ciemnawe, można je było przy tym jeszcze bardziej zaciemnić, albowiem posiadało rolety z czarnego papieru, nie wiadomo przez kogo i po co zainstalowane, ale przyjmowane wówczas z całą powagą jako element tajemnicy redakcyjnej, do której wróg klasowy – a zwłaszcza osławiony kułak – nie powinien mieć dostępu" – wspominał Michał Horowicz, zastępca redaktora naczelnego »Gazety Zielonogórskiej«".

W pierwszych latach oprócz informacji bieżących na stronach gazety dominowały tematy wiejskie, interwencyjne, krytycznie, tzw. czarno-białe. Oto

przykładowe tytuły: „Kułak nie chce pożyczyć małorolnemu maszyn do młocenia zboża", „Kumoterstwo w Gminnej Spółdzielni w Zamysłowie", „Niedostateczne przydziały motocykli SHL", „Potrącenie składek pracownikom bez ich zgody", „Kobieta pragnie ziemi", „Jak ożywić pałace?" Na łamach „GZ" było dużo o najważniejszych inwestycjach tamtego okresu, np. o uruchomieniu zakładu włókien sztucznych Stilon w Gorzowie, fabryki celulozy i papieru w Kostrzynie, budowie huty miedzi w Głogowie. Gazeta prowadziła akcje o charakterze społecznym, np. „Lubuska droga do uniwersytetu", „Wybieramy najlepszego sportowca województwa", „Lubuszanin roku". Bezstronna politycznie była w latach 1989-2021.

Od powstania „GZ" pod jej główką widniała informacja: organ Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Partii Robotniczej. W 1975 r., kiedy utworzono województwa gorzowskie i zielonogórskie (małe), zmieniła tytuł na „Gazeta Lubuska" i stała się dziennikiem PZPR. Do 1989 r. wydanie codzienne zajmowało 8 stron, sobotnio-niedzielne składało się z dwóch części, miało 12 stron. W czasie stanu wojennego jej objętość zmniejszyła się do 4 i 6 stron. Na początku lat 50. nakład nie sięgał 30 tys. egzemplarzy, pod koniec lat 80. przekroczył 100 tys., wydanie magazynowe miało 250 tys. i sprzedawało się bez zwrotów. Po pojawienia się internetu nakład zaczął maleć, obecnie nie przekracza 10 tys. egzemplarzy na papierze trafiających głównie do prenumeratorów. Od 2000 r. „GL" ukazuje się również w wersji elektronicznej. Do pierwszej połowy lat 90. w kolorze czerwonym była drukowana część główki, niektóre winiety i tytuły. W wydaniu sobotnio-niedzielnym był stosowany kolor fioletowy, zielony, oranżowy i niebieski. Od drugiej połowy lat 90. większość stron ukazuje się w kolorze. Obecnie „GL" jest drukowana w Poznaniu. Gazeta wychodzi od poniedziałku do soboty. Jej objętość nie jest stała, na ogół przekracza 24 strony. Od początku lat 90. ukazują się dodatki tematyczne.

Do 1989 r. należała do Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego. Potem tytuł otrzymała spółka Lubpress utworzona przez Bank Handlowy, Solidarność i spółdzielnię dziennikarską. Kolejnymi właścicielami były spółki: Orkla-Media i Media Regionalne. W 2006 r. tę ostatnią kupił fundusz Mecon Europe. W 2013 r. Polskapresse, należąca do niemieckiego holdingu Verlagsgruppe Passau, odkupiła Media Regionalne. W 2021 r. firmę pod zmienioną nazwą Polska Press kupił koncern paliwowy Orlen.

Redaktorami naczelnymi gazety byli: Wiktor Lemiesz, Tadeusz Bazylko, Zygmunt Śniecikowski, Zdzisław Olas, Mirosław Rataj, Iwona Zielińska i Szymon Kozica. Od 2021 r. „GL" kieruje Janusz Życzkowski.

Siedziba redakcji znajduje się w Zielonej Górze, oddział w Gorzowie, dziennikarze są w większych miastach regionu.

Marek Herejczak

Nie istnieje pierwszy klub studencki

Klub U Jana powstał w 1971 roku. Szczęśliwie dla zielonogórskiego środowiska studenckiego nie zaprzestał działalności w połowie lat 70., na co się zanosiło w 1975 r. Ciągłość funkcjonowania tego miejsca dotrwała do końca XX wieku.

Klubowa reklama na zielonogórskim deptaku w trakcie Bachanaliów w 1988 r.

Jeszcze wiosną 1975 r. poza regularnymi dyskotekami w klubie odbyły się: spotkania z komentatorem sportowym telewizji Tomaszem Hopferem i z zespołem redakcyjnym popularnego dwutygodnika studenckiego „itd", a także finał wojewódzki Akademickiego Turnieju Znajomości Języka Rosyjskiego i Wiedzy o Kraju Rad. A w połowie tego roku władze Wyższej Szkoły Inżynierskiej, gdzie istniał klub, postanowiły w jego pomieszczeniach umieścić filię biblioteki głównej uczelni, ale do tego nie doszło.

W lutym 1976 r. rozpoczął się generalny remont tego miejsca. Przebudowano barek, szatnię, zaplecze klubowe i zmodernizowano sieć elektryczną. Klub miał stać się centrum życia społeczno-kulturalnego i wychowawczego studentów zielonogórskich uczelni. Chodziło także o to, aby – zapewne w kontekście kontrowersji udziału w imprezach osób z miasta – był dostępny tylko dla studentów. Na stałe miały zagościć takie imprezy, jak „Wieczory przy świecach", czyli spotkania z poezją studencką, biesiady jazzowe, spotkania kabaretowo-muzyczne, turnieje brydżowe i szachowe, przeglądy filmów krótkometrażowych, a także Dyskusyjny Klub Współczesnej Myśli Politycznej, spotkania z lektorami partyjnymi i pracownikami aparatu gospodarczego. Miała tu być minigaleria plastyczna i fotograficzna.

W Bachanalia '76 i w wakacje klub był dalej zamknięty. Z artykułu prasowego można się dowiedzieć, że po wielu staraniach jest udostępniany tylko dla gości działającego latem Międzynarodowego Hotelu Studenckiego, „lecz z obowiązującym zakazem urządzania dyskotek i innych imprez tanecznych".

Informacja prasowa z 5 listopada 1976 r. dotyczy pierwszego spotkania w klubie sekcji jazzowej, które było próbą stworzenia profesjonalnego kwartetu jazzowego. W Bachanalia '77 mamy informację o kwartecie U Jana, który miał ambicje wykraczające poza Zieloną Górę. Niestety nie udało się grupie dostać na kwalifikacje do konkursu we Wrocławiu, więc się rozpadła. Na początku kwietnia 1977 r. pojawia się informacja o imprezie „Jazz bliżej nas", która dotyczyła Jazzu nad Odrą. Wydarzenia organizowano tradycyjnie z Klubem Jazzowym LTM.

Z działalnością klubu przez następne lata będzie wiązać się turystyczne muzykowanie. Ten trend zapoczątkowała moda na wyjazdy na rajdy górskie głównie za sprawą studentów skupionych w Akademickim Klubie Turystycznym „Eksplorator". Wypadkową rajdów była Włóczęga, impreza zainicjowana w lutym 1977 r. Pierwsza, ale z numerem II, by zachować ciągłość po łagowskim muzykowaniu, była imprezą środowiskową zielonogórskich studentów. Laur zwycięzcy przypadł Sławomirowi Magdziarzowi z WSP. Wymyślono, że eliminacjami w środowisku zielonogórskim do właściwej Włóczęgi będzie Mała Włóczęga, współorganizowana ze studenckim biurem podróży Almatur. Odbywała się zimą, miesiąc, półtora przed przeglądem ogólnopolskim.

Wiosną 1992 r. nad klubem pojawiły się czarne chmury. Wtedy z powodu remontu zamknięto dyskotekę U Ojca, a sprzęt przeniesiono do klubu U Jana.

Formy działania klubu w końcu lat 70. można zawrzeć w następujących obszarach: koncerty zespołów muzycznych, spektakle teatralne (np. Studencki Teatr „Styk"), spotkania z ciekawymi ludźmi, imprezy grup działania, wydziałowe, międzywydziałowe, dyskoteki, próby zespołów artystycznych. W prasie pojawiają się także informacje o weselach studenckich. W pierwszej połowie lat. 80 funkcjonowanie klubu wyglądało podobnie. Trzeba dodać, że ściany w lokalu zostały przyozdobione malowidłami Stefana Kanieckiego.

W relacji prasowej z połowy 1988 r. znajduje się informacja dotycząca tego, jak studenci WSI starali się animować działalność. Specyfika klubu wynikała wprost z aktywności około 30 osób – stałych członków – które to poprzez realizację swoich zainteresowań tworzyły charakter lokalu.

Dominował profil dotyczący piosenki studenckiej i rajdowo-turystycznej. Wiele imprez, które się wówczas odbywały, to wspólne muzykowanie i śpiewanie. Te osoby tworzyły również trzon organizacyjny Ogólnopolskiego Przeglądu Piosenki Turystycznej „Włóczęga".

Oprócz dyskotek czy otrzęsin, połowinek, andrzejek odbywały się Śmiechowiska. Były to popularne imprezy w formie wolnych trybun, ograniczonych do prezentacji tekstów humorystycznych. Uczestnicy wygłaszali żarty czy prezentowali scenki. Jeśli popis się spodobał, wykonawcy wręczano jajko. Ten, kto zebrał ich najwięcej, wygrywał konkurs i otrzymywał nagrodę – żywą i nieprzechodnią kurę albo kaczkę.

Pod koniec lat 80. klub prowadził nawet działalność wydawniczą. Ukazały się śpiewniki z utworami Wolnej Grupy Bukowina, Starego Dobrego Małżeństwa, Wojciecha Wiśniewskiego i Bez Jacka. W 1988 r. w klubie miało miejsce 25 koncertów, wystąpili m.in. Andrzej Ciborowski, Zbigniew Książek, Stanisław Klawy. Mimo to w ocenach działalności tej placówki padają te same opinie, które padały w połowie lat 70., a więc że „upada kultura studencka", że „króluje rozrywka niskich lotów", nie wymagająca „dużego wysiłku intelektualnego".

Początek lat 90. to kolejna zmiana w składzie studentów, którzy zajęli się prowadzeniem klubu. W 1991 r. odbyła się Mała Włóczęga, która była eliminacjami do I Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Studenckiej „Łykend 91" we Wrocławiu. Wiosną była tradycyjna coroczna impreza zwana otwarciem górki, znajdującej się pomiędzy domami studenckimi I i III.

Klubowa kawiarenka muzyczna była czynna codziennie od 20 do 24. Każdej soboty w tych samych godzinach odbywały się studenckie wieczorki taneczne. Mimo że w 1991 r. nie zorganizowano formalnych Bachanaliów, były happeningi, turniej klubów studenckich, wybór Mistera WSI, koncerty, turniej brydżowy, mecz piłkarski z klubem Gęba w WSP.

Z KRONIKI

* 22 grudnia 1992 r.: Klub U Jana wraz z Telewizją Lokalną ZTP zorganizował program „Kolędy inaczej, czyli muzyczna Wigilia". Wystąpili P.O.W, Neverland, Hendri Jimix. Wstęp wolny, ilość miejsc ograniczona.
* 28 stycznia 1993 r.: Dziś w Zielonej Górze wystąpi znany zespół VooVoo. Zapowiada się moc zabawy, gdyż kapela związana z Wielką Orkiestrą Świątecznej Pomocy zagra najpierw o godz. 18.00 w auli WSI, a potem w klubie U Jana.
* 19 lutego 1993: o godz. 20 studencki klub U Jana zaprasza na rock'n'roll party. Wystąpi norweski zespół Yidar Band.
* 29 kwietnia 1993 r.: Poezja śpiewana po polsku i francusku, Piotr Bakal & Phillippe-Georges. U Jana o godz. 20.
* 1 maja1993 r.: Oddział Zamknięty U Jana. Już w sobotę, 1 maja, będziemy mogli jeszcze raz zaśpiewać „Andzię" i inne hity tego zespołu. Początek koncertu o godz. 20 w klubie U Jana.
* 9 kwietnia1994 r.: Mała Włóczęga w sobotę, klub U Jana.

DJ klubu U Jana, 1986 lub 1987 r. *fot. Archiwum*

Wiosną 1992 r. nad klubem pojawiły się czarne chmury. Wtedy z powodu remontu zamknięto dyskotekę U Ojca, a sprzęt przeniesiono do klubu U Jana. To spowodowało skargi związane z nieprzestrzeganiem ciszy nocnej i doprowadziło do zamknięcia dyskoteki U Jana. Wtedy właściciel pomieszczenia postanowił zamienić klub na siłownię. Pod petycją sprzeciwiającą się zamknięciu placówki podpisało się 700 studentów. Klub pozostał, ale bez dyskoteki i nie zabroniono działalności do godziny 22. Gospodarze U Jana mieli ambicję zmienić profil klubu, co się w części im udało. Nawet powołano radę programową złożoną z trojga studentów i dwóch osób spoza uczelni. Po stronie sukcesów wypada odnotować występ kabaretu Potem, koncerty Renaty Przemyk i Dagmary Korony. Zaprezentował się Artur Ginter z muzyką elektroniczną. I, być może wydarzenie historyczne, U Jana, 3 stycznia 1993 r., odbywały się koncerty w ramach pierwszej edycji Wielkiej Orkiestry świątecznej Pomocy w Zielonej Górze. Wtedy organizatorom udało się zebrać 12 mln ówczesnych złotych.

Działalność klubu w pierwszej połowie lat 90. to także współpraca z Biurem Kultury i Sztuki „Alma-Art", w ramach której odbył się cykl koncertów w auli uczelnianej. W listopadzie 1991 r. wystąpili: Elżbieta Adamiak, Andrzej Poniedziałek i Wolna Grupa Bukowina, w grudniu 1992 – Grzegorz Turnau, w styczniu 1993 – Alosza Awdiejew i Marek Lubomski.

– Na początku lat dziewięćdziesiątych Mirosław Dutkiewicz z Alma-Art-u organizował cykl koncertów pod hasłem przewodnim „Nieś muzyko słowa mądre" – przypomina Dariusz Legutowski. – Organizator zaprosił do auli, a później do klubu U Jana, całą ekipę krakowskiej Piwnicy pod Baranami. To było coś. Pojawili się między innymi Grzegorz Turnau, Alosza Awdiejew, Martyna Jakubowska, grupa Pod Budą, Antonina Krzysztoń.

Druga połowa lat 90. to alternatywa i underground, co nie znaczy, że tylko to. We wrześniu 1995 r. w klubie były urządzane studenckie party. Bilet wstępu kosztował 2 zł. Jednak trzeba było mieć legitymację studencką. Obcym bowiem, zgodnie z zarządzeniem rektora, wstęp był zabroniony. U Jana odbywały się tzw. kabaretony oraz trwało Śmiechowisko, czyli konkurs na najlepszy dowcip.

Zamknięcie klubu nastąpiło wiosną 2000 r. z powodu zalania przez deszcz i braku chęci uczelni do remontu pomieszczeń. Ten brak wynikał z tego, że pomieszczenie było niskie, co nie odpowiadało przepisom przeciwpożarowym. Tak skończyła się blisko 30-letnia historia klubu U Jana.

Sylwester Woźniak
Tomasz Kowalski

Niezależna Wytwórnia Filmowa „A'Yoy"

Wielu absolwentów Uniwersytetu Zielonogórskiego pamięta taką scenę ze swojego życia. Wejście do klubu Gęba w tzw. małym akademiku, czyli Vicewersalu. Ogromny tłum, przez który trudno było się przecisnąć. W środku trwał pokaz filmów wytwórni A'Yoy, które co rusz wywoływały salwy śmiechu. Czym właściwie była ta wytwórnia i jaka historia się z nią łączy?

Niezależna Wytwórnia Filmowa „A'Yoy" znana była z kręcenia przede wszystkim krótkich form o charakterze humorystycznym. Według informacji zawartych na blogu 4literatki współcześnie filmy wytwórni umieszczone w internecie mają po około 200 tys. wyświetleń. Może to dla dzisiejszych yotuberów mało, ale należy pamiętać, że są to filmy o charakterze archiwalnym. Algorytmom wyszukiwarek trudno znaleźć dzieła tej wytwórni, chyba że koneserzy będą wpisywać bezpośrednio odpowiednie frazy. Według „Encyklopedii kabaretu" wytwórnia działała w latach 1994-2006. Na początku była związana z działalnością kabaretu Potem. Według innych źródeł stanowiła naturalne rozwinięcie Wytwórni Dźwięku Trrrrrr… prowadzonej przez ówczesnych członków tej formacji: Władysława Sikorę, Joannę Kołaczkowską i Adama „Smutnego" Pernala. Można zatem odnieść wrażenie, że rozwijała się w czasach, kiedy stosunkowo łatwo było nabyć kamerę i realizować swoje pomysły przy niemal zerowym nakładzie finansowym.

Według autorów książki „Historia Zielonogórskiego Zagłębia Kabaretowego" datę powstania pierwszych filmów należy przesunąć dużo wcześniej. Wprawdzie nie została ona podana, jednak na podstawie relacji zamieszczonych w pracy można odgadnąć, że mógł być to początek lat 80. XX wieku, z czym zgadza się Tomasz Kowalski. Wówczas pierwsze filmy powstawały na taśmie 8 mm. Było sporo trudności z ich wywoływaniem. Należało je odsyłać do specjalnego studia w Bydgoszczy, ponieważ w Zielonej Górze nie było odpowiedniego zakładu fotograficzno-filmowego.

Około roku 1984 powstał film nakręcony ukrytą kamerą w parku Tysiąclecia. Jego fabuła polegała na tym, że do ławki przyklejono butelkę wódki, zaś kamera nagrywała osoby próbujące ją oswobodzić lub bezpośrednio wypić z niej zawartość. T. Kowalski dodaje, że sam pomysł powstania wytwórni filmów krótkometrażowych mógł narodzić się podczas jednego z Festiwali Artystycznych Młodzieży Akademickiej w Świnoujściu. Otóż Leszek Malinowski – lider kabaretu Koń Polski – kręcił krótkie filmy, które zebrane były w serii Polnische Idiotische Serial.

Pierwszy krótkometrażowy obraz powstał – według T. Kowalskiego – ponieważ Dariusz „Kamol" Kamys przyniósł do klubu Gęba kamerę. Film pokazywał ujęcie na pagórek, zza którego wyskakiwał Kamys. Następnie biegł, jakby przed kimś uciekał. Sam bieg trwał dość długo, aż do czasu, kiedy „Kamol" ponownie wypadał zza tego samego pagórka.

Źródło: https://www.youtube.com/watch?v=Vb3DRxclz0s

Kadr jednego z bardziej popularnych filmów wytwórni A'Yoy „Hela ma gorzej". W roli głównej i reżyseria Joanna Kołaczkowska, rola męska Krzysztof Kołaczkowski

Nakręcono jeszcze kilka filmów na taśmie 8 mm, jednak dopiero nadejście ery VHS spowodowało, że wszystko stało się łatwiejsze. Całym procesem technicznym zajmował się W. Sikora. Jedne z pierwszych filmów na VHS były kręcone na warsztatach kabaretowych w Złocieńcu i w Gębie, np. „Szczęki 4", „Nóż w wodzie" oraz parodie „Gwiezdnych Wojen". Treści tych filmów oddają klimat niemal wszystkich produkcji A'Yoy. W „Szczękach 4" T. Kowalski walczył z gumowym rekinem, który go zabił. „Nóż w wodzie" pokazywał scenę, w której T. Kowalski wchodząc do wody nadeptuje na

nóż, który go kaleczy. Były też parodie filmów Davida Attenborougha.

Istnieją spore kontrowersje wokół powstania nazwy wytwórni. Według informacji podanej przez autorów „Historii Zielonogórskiego Zagłębia Kabaretowego" określenie A'Yoy miała wymyślić A. Kołaczkowska. Jednak zdaniem innych osób ten zbitek liter został stworzony przez W. Sikorę tak, żeby dobrze wyglądał w czołówce filmowej, a jednocześnie nie miał jakiegokolwiek znaczenia. Według „Encyklopedii kabaretu" liczbę krótkich form filmowych można szacować na 67. Należy jednak brać pod uwagę, że samych produkcji mogło powstać znacznie więcej. Nie wszystkie zostały przecież umieszczone w internecie i niestety znaczna ich część mogła zostać zapomniana.

Kolejnym krokiem w rozwoju wytwórni A'Yoy była realizacja filmów długometrażowych. Pierwsza próba tego typu powstała w 1997 r. Wówczas to W. Sikora zdecydował, że same etiudy są niewystarczające. Nakręcono więc obraz „Robin Hood. Czwarta strzała". Była to parodia ówcześnie bardzo popularnego serialu „Robin z Sherwood". W. Sikora odgrywał w nim rolę Herna, czyli człowieka-jelenia, który skrycie pomagał Robinowi. Przy czym w zielonogórskiej wersji Hern pojawiał się niespodziewanie i wybrane postacie prosił o ogień do papierosa. Dodatkowo kręcenie filmu było mocnym przeżyciem dla mieszkańców Zielonej Góry, gdyż większość scen powstała na Wzgórzach Piastowskich i w rejonie Wyższej Szkoły Pedagogicznej. W trakcie przygotowań do jednej ze scen Pedro, czyli Zbigniew Gawroński, musiał przebrać się w rajstopy. Faceta w rajtuzach zobaczył jeden z zbieraczy jagód i wystraszony uciekł.

Następne filmy były coraz bardziej profesjonalne. W. Sikora ściągał do Zielonej Góry operatorów, oświetleniowców i techników dźwięku. W 1999 r. powstał film „Dr Jekyll i Mr Hyde". Kolejny był obraz „Zamknięci w celuloidzie". Jednak największy rozmach miała produkcja „Baśń o Ludziach stąd". Główne role zagrali m.in. Stanisław Tym, Maciej Stuhr i znany kabareciarz Robert Górski. Sceny były kręcone na wysypisku w Raculi, w opustoszałych budynkach Polskiej Wełny oraz w danych halach fabrycznych Falubazu. Niejednokrotnie film ten był puszczany w telewizji, co świadczy o jego wysokim poziomie technicznym.

Warto dodać, że powstał również Międzynarodowy Festiwal Wytwórni Filmów „A'Yoy", który odbywał się w latach 1995-2004. Był on parodią festiwali filmowych, a przede wszystkim zaś ceremonii rozdania Oskarów. Nagrodą tutaj była statuetka Elvisa. Nazwa wzięła się od przezwiska Mariusza „Elvisa" Dutkowiaka, który sfinansował jej wyprodukowanie. Do jury na początku wchodzili przedstawiciele zielonogórskiego środowiska kabaretowego, ale z czasem pojawiali się też członkowie kabaretów z całego kraju i twórcy filmowi.

Oficjalnie wytwórnia A'Yoy zakończyła swoją działalność w 2006 r. Spowodowane było to wyczerpaniem się pomysłów na etiudy i tym, że wymyślanie na siłę czegoś nowego było niezabawne. Wydaje się, że również nie bez znaczenia był postęp technologiczny, który dawał możliwość kręcenia filmów przy pomocy telefonów komórkowych i ich szybkie publikowanie w internecie. Chociaż A. Kołaczkowska ciągle się odgraża, że z całą pewnością wyda kilka swoich krótkich filmów pod nazwą A'Yoy.

Ludzie podchodzą, oglądają i dyskutują

ROZMOWA Z SŁAWOMIREM RONOWICZEM – KOLEKCJONEREM POCZTÓWEK

– Z urodzenia jest Pan bydgoszczaninem. Jak to się stało, że pocztówki z Grünbergu tak mocno zagrały w Pana życiu?
– Podczas niedzielnego buszowania na giełdzie staroci w Zespole Szkół Elektrycznych moja żona zauważyła kartkę z przedwojennej Zielonej Góry. Tę z domkiem Gremplera na Winnym Wzgórzu. Zachwycona, kupiła ją. Po miesiącu wypatrzyliśmy kolejną i potem jeszcze jedną. Początkowo były to zakupy sporadyczne, wynikające z sentymentu żony do rodzinnego miasta. Prawdziwym przełomem stała się podróż do Norymbergi, gdzie dwa razy do roku odbywała się wielka giełda kartek pocztowych. Wybrałem się na nią z synem, tam wyszperaliśmy 20-30 pocztówek, których jeszcze nie mieliśmy. Wtedy właśnie chwyciłem tego bakcyla i zacząłem kupować kartki masowo. Jeździliśmy całą rodziną na giełdy do Norymbergi, Berlina i Drezna.

– Gdzie Pan wyszukuje obiekty do swojej kolekcji?
– Mam różne źródła. Przeglądam aukcje internetowe, e-Bay'a, Allegro. Kiedyś byłem na giełdzie w Warszawie i choć nic nie kupiłem, to nawiązałem kontakty z kolekcjonerami, co okazuje się dziś ważniejsze niż aukcje w sieci. Nabywam również kartki drogą wymiany. Wiele ciekawych okazów kupuję za granicą, szczególnie w Niemczech.

– Gdzie korzystniej można kupić kartki? W Polsce czy w Niemczech?
– To pewnie zaskakujące, ale w Niemczech. Za okaz, który mogłem kupić tam za 10 euro, u nas płaciłem trzy, cztery razy więcej. A tak w ogóle to nie jest tanie hobby. Ostatnio pojawiła się kartka, za którą zielonogórski kolekcjoner zapłacił 170 euro. Bolało, ale pomyślałem dobre chociaż to, że wróciła do Zielonej Góry. Kartki nieustannie drożeją, gdyż kolekcjonerów przybywa. Przyczyniają się do tego między innymi wystawy, które rozbudzają zainteresowanie.

– Czy wszystkie transakcje internetowe dochodzą do skutku?
– Bywa różnie. Zdarzyło mi się, że kupiłem bardzo cenny okaz, zapłaciłem, a pocztówka nie dotarła do mnie. I chociaż e-Bay zwrócił mi pieniądze, to utrata kartki dopełniającej kolekcję bolała mnie mocniej, niż gdybym stracił pieniądze. To są zawsze emocje i dlatego wolę bezpośrednie zakupy.

– Jaką najwyższą kwotę był Pan w stanie zapłacić za kartkę, która Pana zainteresowała?
– Najbardziej chodziły za mną kartki z korowodu winobraniowego w 1900 roku. Za ich zestaw byłem w stanie zapłacić dużo. Wówczas w Zielonej Górze największy zestaw z tego wydarzenia miał prof. Osękowski, aż 17 sztuk. Ja miałem zaledwie 12. Ambicja została poruszona. Co ciekawe, okazało

się że w moich 12 są dwie, których nie miał profesor, doszedłem więc do wniosku, iż może być ich jeszcze więcej. Teraz mam wszystkie, jakie pojawiły się do sprzedaży. Czyli 20. Nie jestem jednak pewien, czy to są wszystkie, które były wydane.

– Ile kart liczy dziś Pana kolekcja? I które są Panu najbliższe?
– 1200 sztuk. Od roku, dwóch trzech, kupuję w zasadzie pojedyncze egzemplarze. Bardzo sobie cenię wspomniany wcześniej zestaw pocztówek z winobrania w 1900 roku. A z pojedynczych? Ta przedstawiająca synagogę.

– Ale przecież kartki to nie tylko widoczki, są na nich również treści zapisane przez nadawców pozdrowień czy życzeń?
– To kolejny element, na który zwracam dziś szczególną uwagę. Niektóre są zapisane piękną kaligrafią, przez co stają się dopełnieniem przedstawionego widoku lub grafiki. Warto przypomnieć, że kiedyś jedna strona pocztówki była przeznaczona tylko dla adresu.

– Czy próbował Pan zgłębiać teksty znajdujące się na pocztówkach?
– Jeszcze nie, ale zamierzam. W swojej kolekcji mam karty wysyłane z Zielonej Góry w przeróżne strony świata. Chciałbym spróbować dotrzeć do adresatów, a właściwie do ich potomków. To mogłoby również poszerzyć naszą wiedzę o przeszłości Zielonej Góry.

– Ciekawi mnie walor techniczny kolekcji. Jak przechowuje się swoje okazy? W pudełkach, w albumach?
– Podpatrując kolekcjonerów niemieckich, już na początku zaopatrzyłem się w bardzo duże klasery, gdzie są miejsca na wymiar starych kartek przedwojennych. W jednym albumie można zmieścić ich około 500. Jak pojawia się nowy okaz, na przykład z ratuszem, to nie trafia na koniec kolekcji, tylko w miejsce, gdzie są obiekty związane ze Starym Rynkiem. Od razu też zmieniam numerację. Fajnie się taki album ogląda, bo wszystko jest ułożone rewirami albo tematycznie. Zaopatrzyłem się też w zapasowe kartki do albumu. Można je wpinać w dowolnym miejscu i nie trzeba przesuwać całego zbioru. Dodatkowo wszystkie pocztówki mam zeskanowane.

– A co, jak trafi się „chora" kartka? Czy stosuje Pan jakąś konserwację?
– Byłem na kursie specjalistycznym, gdzie poznałem metody archiwizacji starych dokumentów, zdarza się bowiem, że trafia do mnie kartka zagrzybiona lub nieco zniszczona. Przed włożeniem do klasera staram się ją przez jakiś czas trzymać w suchym miejscu (nie na słońcu!). Sam klaser też od czasu do czasu otwieram i wietrzę.

– Czy kolekcjonerstwo przełożyło się na pogłębienie zainteresowania przeszłością naszego miasta?
– Zdecydowanie, tym bardziej że jestem z Kujaw i musiałem się uczyć Zielonej Góry od podstaw. Dzięki kartkom mogłem obserwować, jak wyglądało i jak się zmieniało miasto. Mogłem też zobaczyć, jak wielkie znaczenie miały jego tradycje. Poza tym fascynujące są rozmowy z innymi kolekcjonerami i entuzjastami historii Winnego Grodu. Jest ich już całkiem sporo i wielu z nich chętnie sobie pomaga.

– Lubi Pan sobie czasem tak siąść i poprzeglądać zbiór?
– Z uwagi na zakupy nowych obiektów dość często do niego zaglądam, aby sprawdzić, czy nie dubluję posiadanej już kartki. A jak już zacznę przeglądać, to mnie już wciąga i przewracam kartki dalej i dalej.

– Nie jest Pan typem samotnika zamykającego się w czterech ścianach ze swoją kolekcją. Chętnie ją Pan udostępnia. Nie tylko zresztą na wystawach. Widzę kartki opisane Pana nazwiskiem w artykułach Tomasza Czyżniewskiego.
– Miałem do tej pory dwie duże wystawy 2013 i 2022 roku. Obie w zielonogórskim muzeum (druga wspólnie z Bartłomiejem Gruszką – red.). Były to ekspozycje jednak nieco inne niż prezentacje przygotowane przez moich kolegów. Otóż moim zamysłem było pokazanie pocztówek w dużym formacie, by można dokładnie zobaczyć, co się na nich znajduje. Dlatego powiększyłem je kilkukrotnie i wydrukowałem na płytach. Miło było patrzeć, jak ludzie podchodzą, oglądają i dyskutują. Każdej wystawie towarzyszyły też po dwa reprinty, które oglądający mógł zabrać ze sobą. Ostatnią wystawę, która będzie w grudniu powtórzona w Centrum Przyrodniczym, zdobiło kilka oryginałów oraz obiekty z epoki. Cały swój zbiór udostępniłem redaktorowi Czyżniewskiemu, który często wykorzystuje poszczególne kartki jako ilustrację do tekstów w „Łączniku Zielonogórskim". Pewnego dnia po prostu skopiowałem skany pocztówek na płytę i powiedziałem: Panie Tomku, proszę z nich korzystać.

– Dziękuję za rozmowę.

Alicja Błażyńska

fot. Mariusz Kowalski

Sławomir Ronowicz – urodzony w Bydgoszczy w 1955 r. Absolwent wydziału elektronicznego Politechniki Poznańskiej. Od 1982 r. mieszka w Zielonej Górze. Był nauczycielem elektrotechniki i osprzętu lotniczego w Liceum Lotniczym. Po przemianach ustrojowych rozpoczął działalność gospodarczą. Udziela się w stowarzyszeniu Pro Cultura et Musica im. Edyty Stein.

Ryszard Zaradny

Profesor z talentem menedżerskim

Jerzy Kazimierz Baksalary urodził się w Poznaniu. Tam też odbył edukację, kończąc ją w 1969 roku jako absolwent wydziału matematyki, fizyki i chemii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. W latach 1969-1988 pracował w katedrze matematyki Akademii Rolniczej w Poznaniu.

fot. Archiwum Uniwersytetu Zielonogórskiego

Jerzy Kazimierz Baksalary (1944-2005)

Z Zieloną Górą związał się w 1988 r., podejmując pracę na stanowisku docenta w instytucie matematyki Wyższej Szkoły Pedagogicznej. W 1990 r., na wniosek rady wydziału matematyki i fizyki UAM uzyskał tytuł profesora nauk matematycznych. W tym też czasie jako profesor Fińskiej Akademii Nauk prowadził badania na Uniwersytecie w Tampere, co oprócz licznych publikacji, zaowocowało zapoznaniem się z funkcjonowaniem nowoczesnego systemu edukacji.

W 1990 r. został rektorem WSP. Sprawował tę funkcję przez dwie kadencje do 1996 r., następnie pełnił funkcję dziekana wydziału matematyki, fizyki i techniki. Na spotkaniu przedwyborczym na rektora prezentował wizję nowoczesnej uczelni, w odróżnieniu od kontrkandydatów ograniczających się do tablicy i kredy.

Wykorzystując zapoczątkowany proces komercjalizacji w szkolnictwie wyższym, jako pierwszy w kraju wprowadził płatne studia zaoczne bez konieczności zdawania egzaminu wstępnego. Była to reakcja na zapowiedź ministra edukacji o wymogu studiów magisterskich dla nauczycieli. W rezultacie w Zielonej Górze zjawiły się tabuny kandydatów z całej Polski, na jednym roku na kierunku wychowanie przedszkolne i nauczanie początkowe było 18 grup wykładowych po 100 studentów każda. A chętnych było więcej, więc przyjmowano wpłaty już na następny rok akademicki. W okresie tym rektor wzmocnił uczelnię kadrowo dwuipółkrotnie zwiększając liczbę profesorów i doktorów habilitowanych oraz znacznie poszerzył ofertę studiów powołując, między innymi instytut zarządzania, instytut filozofii, instytut plastyczny, kolegia językowe oraz nowe kierunki niezwiązane ściśle z pedagogiką. Zaowocował tu jego talent menedżerski.

Doskonała sytuacja finansowa umożliwiła rozbudowę i zakup obiektów na potrzeby bazy dydaktycznej uczelni oraz powiększeniem bazy noclegowej studentów o kilka akademików (liczba studentów WSP wzrosła ponad dwukrotnie). Ustanowił tak zwany dodatek zielonogórski dla samodzielnych pracowników nauki, co było istotnym argumentem, w sytuacji mizerii płacowej na uczelniach. Zajęcia na studiach zaocznych wyłączono z pensum i zawarto dodatkowe umowy o pracę na tych studiach, a to wiązało się z dodatkowymi dochodami pracowników.

Zatroszczył się także o rozwój bazy socjalnej uczelni: zakupił ośrodek wypoczynkowy w Karłowie i rozpoczął budowę bloków mieszkalnych przy ul. Prostej , wprowadził wyprawki szkolne dla dzieci pracowników.

Jego zainteresowania badawcze obejmowały różne problemy z pogranicza algebry macierzy i wnioskowania statystycznego w ramach modeli liniowych. Jest autorem lub współautorem 183 prac naukowych, z czego znakomita większość opublikowana jest w renomowanych czasopismach o zasięgu światowym. Był członkiem kolegiów redakcyjnych znanych periodyków „Journal of Statistical Planning and Inference", „Current Index to Statistics" i „IMAGE" oraz współredaktorem specjalnego tomu „Journal of Statistical Planning and Inference" i specjalnego tomu „Linear Algebra and Its Applications". Uczestniczył w wielu międzynarodowych konferencjach naukowych. Prowadził badania naukowe w takich ośrodkach naukowych jak: Indian Statistical Institute (Indie), University of Tampere (Finlandia), McGill University oraz University of Waterloo (Kanada), Universität Dortmund oraz Universität Augsburg (Niemcy) i Pittsburg University oraz Pennsylvania State University (USA).

Prof. Baksalary miał wiele zainteresowań kulturalnych. Był miłośnikiem muzyki, a w szczególności jazzu i muzyki klasycznej. Pasjonowało go również malarstwo, a szczególnie dzieła malarzy flamandzkich XVII w. i francuskich XIX w.

J. Baksalary był niewątpliwie jedną z postaci pomnikowych zielonogórskiego środowiska akademickiego. Jako reformator dzięki swojej wizji i determinacji stworzył w WSP podwaliny nowoczesnego ośrodka akademickiego. Był także postacią kontrowersyjną. Zdarzało się bowiem, że naruszał kanony etyczno-moralne tego środowiska. Przywołam tutaj opinię, moim zdaniem trafną, prof. Ewy Narkiewicz-Niedbalec: „Dlaczego rektor był kontrowersyjny? Dlatego, że miał parę cech, które raczej utrudniały mu kontakt z otoczeniem. To on rozdawał karty, przygotowywał uchwały senatu, które przechodziły dość gładko, krytyką się specjalnie nie przejmował, a z adwersarzami poczynał sobie dość obcesowo. Dla wrażliwców było to nie do przyjęcia. Cenił lojalność, sam dużo pracował i od najbliższych współpracowników też tego wymagał. Nie przejmował się władzą ani ministerialną, ani lokalną. Nie przejmował się też miejscową prasą. Robił swoje".

No cóż, stare porzekadło głosi, że nie święci garnki lepią.

Prof. Baksalary zmarł 15 marca 2005 r. w Poznaniu.

Longin Dzieżyc

Carl Friedrich Seiffert też był stąd

Od wieków ważnym elementem budującym tożsamość państw, regionów czy miejscowości jest ich dorobek kulturowy. Znaczący udział w jego kształtowaniu mają ludzie sztuki. Do postaci współtworzących tożsamość Zielonej Góry należą między innymi malarze: Tadeusz Kuntze, znany też jako Konicz, Carl Friedrich Seiffert, Gerhard Reisch czy cała grupa powojennych artystów z Klemem Felchnerowskim i Marianem Szpakowskim.

Carl Friedrich Seiffert urodził się we wrześniu 1809 roku w Grünbergu (Zielonej Górze). Kształcił się w berlińskiej Akademii Sztuk Pięknych w pracowni prof. Johanna Brückego i pejzażysty Carla Biermanna. Ważnym elementem jego artystycznych zainteresowań była przeprowadzona w 1841 r. naukowa wyprawa w Karkonosze i wędrówka szlakiem książęcych zamków. Z upodobaniem malował góry ze strumieniami, jeziorami, mostami i ludźmi. Wzorował się na lubianych i popularnych rysunkach Adriana Ludwiga Richtera, jednego z najważniejszych twórców romantycznej filozofii niemieckiej. W latach 1845-1847 artysta podróżował po Włoszech, odwiedzając Rzym i Neapol, poznał także Sycylię, Karyntię, Szwajcarię i Tyrol. Z tych wypraw zachowały się liczne pejzaże z widokami alpejskich dolin, potoków i jezior. Z kolei w Tyrolu malował zamki, klasztory i kościoły. W latach 1852-1853 malarz asystował profesorowi Eduardowi Papemu w pracach nad dekoracjami ściennymi w powstającym Nowym Muzeum w Berlinie.

Jednak ulubionym tematem C.F. Seifferta były pejzaże o malarskim charakterze. W pierwszej połowie IX stulecia ten rodzaj twórczości kształtowały zarówno realistyczne ujęcia plenerowe malarstwa angielskiego, jak i trwający w większości krajów Europy pejzaż romantyczny. Do tego drugiego romantycznego nurtu idealizującego i poetyzującego naturę należą prace malarza. Artysta zmarł w Berlinie w kwietniu 1891 r. Jego dzieła znajdują się między innymi w berlińskiej Galerii Narodowej. Wśród najbardziej znanych przedstawień znajduje się: „Góra Jungfrau w Szwajcarii", „Błękitna grota na Capri" (1860) czy „Cieśnina Mesyńska" (1863).

Szczególnym uświetnieniem jubileuszu 800-lecia Zielonej Góry i 100-lecia muzeum jest wystawa stała poświęcona C.F. Seiffertowi, malarzowi urodzonemu w Winnym Grodzie. W biedermeierowskim saloniku znalazły się pejzaże i portrety. Po Heimatmuseum w zbiorach działu sztuki dawnej Muzeum Ziemi Lubuskiej znajdują się przedstawienia portretowe pędzla artysty. Pochodzą one z wczesnego okresu twórczości, kiedy Zielona Góra, miasto sukienników i winiarzy, liczyła niewiele ponad 10 tys. mieszkańców. Do jej ówczesnej elity finansowej należał sportretowany przez malarza kupiec winny, winiarz i filantrop Carl Engmann. Był właścicielem jednej z największych w mieście piwnic winiarskich (znajduje się przy ul. Wrocławskiej 7). Trzy lata później, w 1838 r., powstało niewielkie popiersie mężczyzny na tle pomieszczenia kancelaryjnego. Zapewne autorstwa C.F. Seifferta jest także para portretów z senatorem Ottą i jego małżonką, wykonana w technice pasteli.

Jednak w dorobku artystycznym C.F. Seifferta szczególne miejsce zajmują pejzaże. Większość prac oddaje charakter najwyższych gór Europy, ukazanych między innymi w obrazach: Jezioro w szwajcarskich Alpach w kantonie Uri czy krajobraz alpejski. Nieco inny charakter ma włoski skalisty pejzaż ożywiony elementami sztafażowymi.

Wszystkie dzieła pejzażowe są częścią największej w Polsce prywatnej kolekcji poświęconej śląskiemu malarstwu pejzażowemu, pochodzącemu ze zbiorów zielonogórzanina profesora Czesława Osękowskiego. (W rozmowie zamieszczonej w numerze 10 „NW" prof. Osękowski powiedział: – Mam 15 prac urodzonego w Zielonej Górze Carla Friedricha Seifferta, przeważnie widoki alpejskie, chociaż nie tylko. To bardzo dobry artysta, a jego obrazy można oglądać w Muzeum Narodowym w Berlinie).

Carl Friedrich Seiffert – „Portret winiarza Carla Engmanna" (olej, płótno, 1835), w zbiorach Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze

Prezentowane w galerii prace cechuje szerokie spektrum czasowe od najwcześniejszych realizacji portretowych z lat 30. XIX stulecia po widok z okolic Drezna powstały w 1881 r.

Monograficzna galeria C.F. Seifferta jest kolejnym stałym elementem ekspozycyjnym Muzeum Ziemi Lubuskiej wzbogacającym obraz kulturowy miasta. Wystawa poprzez dzieła malarstwa ukazane w biedermeierowskim anturażu przenosi widza w tradycje i klimat XIX-wiecznej sztuki.

Grzegorz Wanatko

Żużlowcy pod opieką i patronatem Zgrzeblarek

Lata 70. XX wieku to okres, w którym w kadrze zespołu pojawili się utalentowani zawodnicy, tacy jak bracia Alfred i Jan Krzystyniakowie, Maciej Jaworek, Andrzej Huszcza, Henryk Olszak. W następnej dekadzie nadawali ton rozgrywkom żużlowym w Polsce.

fot. Archiwum Muzeum Ziemi Lubuskiej

Zawody żużlowe na stadionie przy ul. Wrocławskiej

Dla niektórych zielonogórzan rok 1961 to czas narodzin miejskiego żużla. Choć sport motorowy w Winnym Grodzie istniał już od kilkunastu lat, to rzeczywiście speedway w tym roku wkroczył na nowe tory. Pożegnano się z mecenasami z kręgu militarystów. Klub zyskał opiekuna w postaci Lubuskiej Fabryki Zgrzeblarek Bawełnianych. Stało się tak głównie z uwagi na okazały park maszynowy, tak pożądany przez żużlowców. Sama drużyna przyjęła nazwę Zgrzeblarki.

Przeglądając zakładową kronikę Falubazu, która jest w muzealnych zbiorach, trudno doszukać się informacji, aby było to wiekopomne wydarzenie, które zyskałoby uwagę kronikarza. Pierwsze wzmianki o „zakładowych" żużlowcach pojawiały się dopiero u schyłku lat 70. XX wieku. W wymiarze sportowym w pamiętnym 1961 r. pracowników fabryki zajmowały bardziej sprawy budowy przystani dla kajaków w zakładowym ośrodku w Dąbiu. Zresztą wówczas kronikarza znacznie bardziej interesowały poczynania sekcji wędkarzy niż raczkujących motorowców. Trzeba także zauważyć, że w owym czasie sport żużlowy był jedną z wielu popularnych dyscyplin w mieście. W dobie Wunderteamu na początku lat 60. kibiców pasjonowały wyczyny lekkoatletów, wśród których błyszczały takie gwiazdy jak Edward Czernik czy Marian Filipiuk.

Z dekady lat 60. warto wymienić kilka aspektów, który wyznaczyły rozwój zielonogórskiego żużla. Trudno o wymiar sportowy, bowiem poza jednym sezonem drużyna spędziła ten okres uczestnicząc w rozgrywkach II ligi. Niemniej w tym czasie dokonano remontu stadionu przy ul. Wrocławskiej, który dzięki przeprowadzonym pracom mógł pomieścić około 10 tys. widzów. Po odejściu spod skrzydeł LPŻ włodarze klubu chcieli także nadać sekcji nowy wizerunek. Pierwszą próbą zaakcentowania winiarskiej przeszłości miasta był motyw winorośli, który pojawił się na plastronach żużlowców. Nie zyskał on przychylności zawodników i kibiców, a kilka lat później głównie dzięki Bonifacemu Langnerowi znakiem rozpoznawczym stała się mysz nawiązująca do Myszki Miki Disneya. Symbol ten pozostał po dziś dzień. Już w plastronie z myszką zielonogórscy żużlowcy po raz pierwszy przywitali się z najwyższym szczeblem sportowej rywalizacji w 1964 r. Tocząc nieustanne dysputy z teściem Michałem, zagorzałym fanem czarnego sportu, słyszałem, jak podkreślał on niemal rodzinny charakter spotkań na trybunach. Z nostalgią wspominał, że przychodząc wówczas na stadion, znał sporą część kibiców.

Dzięki Bonifacemu Langnerowi znakiem rozpoznawczym żużlowców z Zielonej Góry stała się mysz nawiązująca do Myszki Miki Disneya

Dekada lat 70. XX w. to czas, gdy speedway systematycznie zyskiwał na popularności wśród zielonogórzan. Większość tego czasu drużyna rywalizowała w I lidze. Historyczne wydarzenia miały miejsce w 1973 r. Drużyna przyjęła legendarną nazwę Falubaz, zdobyła także pierwszy medal – brązowy drużynowych mistrzostw Polski, który udało się powtórzyć w 1979 r. Wydaje się jednak, że dla sponsora klubu ważniejsze było Drużynowe Mistrzostwo Federacji „Stal" uzyskane w tym samym roku.

W tym okresie zanotowano także wzrost zainteresowania żużlowcami w zakładowej kronice. Podkreślono, że w Zielonej Górze zorganizowano 25 imprez żużlowych, a liczebność członków klubu osiągnęła liczbę 888 osób, przeważnie pracowników Falubazu. Być może wzrost zainteresowania zakładu sekcją żużlową przełożył się na sukcesy sportowe. W 1978 r. zakład wyposażył klub w nowoczesny sprzęt wyczynowy: motocykle czterozaworowe typu Weslake i Jawa DT 894. Kolejne cztery motocykle zasiliły klubowy park maszynowy w 1979 r. Mimo to zarządcy

klubu twierdzili, że ich potrzeby sprzętowe nie są w pełni zaspokojone. Z ciekawostek należy odnotować, że zakład dla zawodników i działaczy przeznaczył sześć mieszkań.

Niestety, wraz z tym coraz bardziej dostrzegalne były wybryki kibiców na stadionie oraz poza obiektem, zwłaszcza podczas lubuskich derbów, które zaczęły nabierać nie tylko sportowego wymiaru. Informowała o nich regionalna, a i niekiedy krajowa prasa. „Tygodnik Żużlowy" w relacji z 1978 r. donosił o regularnej wojnie pomiędzy kibicami z Zielonej Góry i Gorzowa Wielkopolskiego. Walka toczyła się na kamienie, ławki, a niektóre pojazdy z rejestracjami gorzowskimi w drogę

Złota drużyna Falubazu z sezonu 1982

W 1982 roku legendarny żużlowiec Andrzej Huszcza został indywidualnym mistrzem Polski

fot. Alicja Skowrońska

powrotną udawały się uszkodzone. Jerzy Synowiec, były prezes Stali, wspominając jedne z derbów w Zielonej Górze, opowiadał o zamieszkach na trybunach i w mieście. Wspominał także o przebitych oponach i zniszczonym płaszczu.

Lata 70. to okres, w którym w kadrze zespołu pojawili się utalentowani zawodnicy, tacy jak bracia Alfred i Jan Krzystyniakowie, Maciej Jaworek, Andrzej Huszcza, Henryk Olszak, którzy w kolejnej dekadzie nadawali ton rozgrywkom żużlowym w Polsce. Na przełomie lat 70/80. rozwijały się obozy szkoleniowe: zimowe w Szklarskiej Porębie i wiosenne w Łagowie. Ciekawostką może być to, że u schyłku lat 70. patronat nad sekcją żużlową Falubazu objęła Federacja Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej, która wśród swoich zamierzeń miała tworzenie korzystnego klimatu dla działalności społeczno-politycznej w sporcie żużlowym. Znamiennym pozostaje fakt, że w 1980 r. zielonogórscy żużlowcy zostali Młodzieżowymi Drużynowymi Mistrzami Polski. Tak rozpoczęła się złota dekada lat 80.

W 1981 r. Falubaz po raz pierwszy świętował tytuł Drużynowego Mistrza Polski. Niestety w tym samym sezonie na torze wydarzył się pierwszy śmiertelny wypadek, w wyniku którego zmarł Bogdan Spławski. W latach 80. zielonogórzanie kilka razy się cieszyli z medali czempionatu kraju, w tym tych najcenniejszych (1982, 1985). Gwiazdą tamtego zespołu był A. Huszcza, do dziś największa legenda klubu. Niestety w tym okresie zielonogórzanie także smucili się z powodu śmierci kolejnego zawodnika (Wiesław Pawlak – 1987 r.). Koniec lat 80. to zmierzch okresu blasku Falubazu i trudny czas ustrojowej transformacji w Polsce. Zmiany te dotknęły także sport motorowy.

W następnym numerze ciąg dalszy.

Roman Doganowski

Zielona Góra była mi pisana

W czasie studiów po raz pierwszy znalazłem się w Zielonej Górze. Było to w lecie 1968 r. podczas praktyki z gleboznawstwa po drugim roku studiów. Zielona Góra wydała mi się urokliwym, choć nieco zapyziałym miasteczkiem. Wokół rynku jeździły wówczas autobusy, a o nowych osiedlach chyba jeszcze nie myślano.

Kiedy dziś się zastanawiam nad tym, które miasto nazwać rodzinnym, to myślę, że chyba Wrocław. Wprawdzie urodziłem się dwa lata po wojnie w Elblągu, ale rodzice mieszkali wówczas w Sopocie. Mój ojciec pochodził ze szlacheckiej rodziny kresowej, a mama była góralką z Muszyny, gdzie mój dziadek był przed wojną burmistrzem.

We Wrocławiu wylądowaliśmy w 1953 r. Ściągnął nas tam mój drugi dziadek, dr Sergiusz Doganowski, który był wziętym ginekologiem położnikiem i wieloletnim dyrektorem kliniki przy ul. Glinianej. Z tego okresu najbardziej utkwiły mi w pamięci codzienne jazdy tramwajem do przedszkola. Wsiadałem na Nowowiejskiej i jechałem przez pół Wrocławia, aż w okolicę Hali Ludowej (obecnie Hala Stulecia). A potem per pedes przez Rosenbergów na Witelona, gdzie na skraju parku Szczytnickiego mieściło się moje przedszkole o mało adekwatnej do położenia geograficznego nazwie Młody Marynarz.

Wrocław jest miastem mojej młodości i edukacji

Szkoła podstawowa, technikum geodezyjne i studia na oddziale geodezji Wyższej Szkoły Rolniczej. Pierwsze miłości i rozczarowania. W technikum uczyłem się może trochę lepiej niż średnio, za to studia ukończyłem z wyróżnieniem. Udzielałem się społecznie w Zrzeszeniu Studentów Polskich jako przewodniczący komisji nauki i wiceprzewodniczący rady uczelnianej, a także w kole naukowym geodetów, któremu przewodniczyłem. W czasie studiów też po raz pierwszy znalazłem się w Zielonej Górze. Było to w lecie 1968 podczas praktyki z gleboznawstwa po drugim roku. Zielona Góra wydała mi się urokliwym, choć nieco zapyziałym miasteczkiem. Wokół rynku jeździły wówczas autobusy, a o nowych osiedlach chyba jeszcze nie myślano. Zakwaterowano nas w hotelu Pod Orłem. W dzień jeździliśmy do Zaboru kopać odkrywki, a wieczorami bawiliśmy się przy winku w Bachusie lub przy tanecznej muzyce w Palmiarni. To były piękne studenckie czasy.

Stypendium naukowe i dyplom z wyróżnieniem predestynowały mnie do pozostania na uczelni, ale ja chciałem sprawdzić się w praktyce i podjąłem pracę w Miejskiej Pracowni Geodezyjnej przy pl. Solnym. Jeszcze na studiach ożeniłem się, miałem syna Wojtka, a wkrótce potem pojawiła się córka Ania. Naszą bolączką był, jak w przypadku wielu ówczesnych młodych rodzin, brak mieszkania. Okazało się, że jako wrocławianin nie mam szans na otrzymanie mieszkania z puli dla specjalistów w moim mieście i nie pozostało mi nic innego, jak z Wrocławia wyemigrować.

W 1980 r. było oczywiste, że mnie – młodego i zbuntowanego społecznika – porwie powstający nowy ruch społeczny.

I tak znalazłem się w Zielonej Górze

To zresztą było moje drugie podejście do tego miasta (nie licząc wspomnianej już praktyki wakacyjnej). Pierwsze miało miejsce trzy lata wcześniej. Jeden z moich wykładowców na WSR i jednocześnie pracownik zielonogórskiej Wyższej Szkoły Inżynierskiej, dr Romuald Malinowski, namawiał mnie do pracy na tej uczelni. Wsiadłem zatem do autobusu i pojechałem do Winnego Grodu. Wysiadłem na dworcu autobusowym i miejskim autobusem dojechałem na ul. Podgórną. Po drodze widziałem dużo zieleni, ale też niską starą zabudowę. Przeraziła mnie ta małomiasteczkowość i wróciłem do Wrocławia z mocnym postanowieniem pozostania tam po ukończeniu studiów.

Widocznie jednak Zielona Góra była mi pisana i po trzech latach wylądowałem w niej z powrotem. Tym razem z obietnicą mieszkania i pracy w Okręgowym Przedsiębiorstwie Geodezyjno-Kartograficznym. Pierwszy rok spędziłem na delegacji w Głogowie. Po roku dostałem tymczasowe mieszkanie w przeznaczonym do rozbiórki domku w miejscu powstającego osiedla przy Łużyckiej, a po dwóch latach wymarzone nowe mieszkanie w nowym bloku przy ul. gen. A. Waszkiewicza (obecnie Rydza-Śmigłego).

Nie było łatwo. Co rano odwoziłem syna do przedszkola przy Zamenhofa autobusem o 5.47 i stamtąd musiałem zdążyć na 7.00 do pracy przy dr. Pieniężnego. Najczęściej na piechotę przez park Tysiąclecia. Ale byłem młody i pełen werwy. Później udało mi się załatwić dla dzieci przedszkole obok miejsca pracy przy dr. Pieniężnego, ale za to musiałem być w komitecie rodzicielskim. Tam poznałem Wacka Garbaja, późniejszego mojego wieloletniego przyjaciela. Mawialiśmy żartem, że znamy się od przedszkola.

W pracy szybko awansowałem. W krótkim czasie zostałem szefem zespołu przygotowania dokumentacji, a nieco później – zespołu uzgadniania dokumentacji projektowej. To był już okres schyłkowego Gierka i narastania buntu społecznego. Buntowałem się i ja. Pełniłem wówczas najpierw funkcję społecznego inspektora pracy, a potem – wbrew dyrekcji i gremium partyjnemu – przewodniczącego rady zakładowej. Byłem fanem brydża sportowego. Tego bakcyla połknąłem jeszcze na studiach. Grałem co tydzień w turniejach, wciągnąłem w tę pasję kilkoro kolegów z pracy i nawet stworzyliśmy klub, który brał udział w rozgrywkach ligi

fot. Archiwum Urzędu Miasta w Zielonej Górze

Roman Doganowski – rocznik 1947, ukończył stacjonarne studia geodezyjne w Wyższej Szkole Rolniczej we Wrocławiu i podyplomowe na wydziale prawa Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Od lat 70. XX wieku pracował jako geodeta. W latach 1990-1994 był prezydentem Zielonej Góry. W 2006 r. ponownie kandydował na urząd prezydenta miasta, ale się wycofał. Jest autorem książek „Ustrój i zadania samorządu terytorialnego" i „Obrót nieruchomościami w teorii i praktyce", a także wielu innych publikacji. Mieszka w Miliczu na Dolnym Śląsku.

okręgowej. Brydż był wówczas bardzo popularny także w naszej branży. Organizowane były krajowe mistrzostwa, w których uczestniczyliśmy ze zmiennym szczęściem, jednak raz je wygraliśmy, a raz zajęliśmy drugie miejsce. Jako zwycięzcom przypadł nam też zaszczyt zorganizowania kolejnych rozgrywek, które odbyły się na zamku w Lubniewicach.

W 1980 r. było oczywiste, że mnie – młodego i zbuntowanego społecznika – porwie powstający nowy ruch społeczny. Rzuciłem się w wir pracy organizacyjnej, stworzyliśmy komisję zakładową NSZZ i zostałem jej przewodniczącym. Jeździłem wówczas także po całej Polsce, organizując komisję koordynacyjną geodetów.

Kiedy nastał mrok stanu wojennego, musiałem zmienić pracę, co zresztą okazało się całkiem pozytywnym doświadczeniem. Przeniosłem się do Biura Projektów Wodnych Melioracji, gdzie zostałem kierownikiem pracowni geodezyjnej. To była naprawdę dobra decyzja. W mojej nowej firmie panowała zupełnie inna, wręcz rodzinna, a co najmniej przyjacielska atmosfera, która zresztą sprzyjała także solidnej pracy za całkiem dobre pieniądze. Znajdowaliśmy też czas na różne zawody sportowe, pikniki i bardzo krajoznawcze wyjazdy naukowo-techniczne. Grywałem nadal w turniejach brydżowych, gdzie moim partnerem bywał mistrz międzynarodowy Mirek Bubiłek. Te wyjazdy naukowo-techniczne jakoś szczególnie przypadły mi do gustu i zająłem się ich organizacją. Nie było jeszcze internetu i wszystko praktycznie trzeba było załatwić osobiście podczas rekonesansu. Na tych wyjazdach było sporo doznań poznawczych, ale też

Prowadziłem bogate życie towarzyskie. Najczęstszym powodem spotkań były imieniny, na których nieźle się jadało.

dyscyplina. Wszyscy uczestnicy wiedzieli, że jeśli autokar ma odjechać np. o 13.00, to odjeżdżał o 13.00. To zamiłowanie do punktualności, które pozostało mi zresztą do dzisiaj, zawdzięczam dyrektorowi Ryszardowi Pietrzykowskiemu. Prowadzone przez niego cotygodniowe narady kierownictwa biura zaczynały się zawsze w poniedziałki punktualnie o 8.00. Żeby nie wiem co, żeby się paliło i waliło, punktualnie o ósmej dyrektor zaczynał naradę.

Koniec lat osiemdziesiątych był dla mnie początkiem działalności politycznej

Wróciła nadzieja na wyjście z konspiracji i zmiany w polskim układzie politycznym. Udzielałem się wówczas w Komitecie Obywatelskim i Klubie Inteligencji Katolickiej. Podczas tzw. wyborów kontraktowych 4 czerwca 1989 r. byłem wiceprzewodniczącym obwodowej komisji wyborczej. Tej nocy nikt z nas nie poszedł spać. Nad ranem jeździliśmy i spisywaliśmy wyniki ze wszystkich komisji. Widać było, że nasi kandydaci wygrywają. To było cudowne, wręcz euforyczne odczucie! Senat był nasz, Sejm prawie.

Wiedzieliśmy, że Polskę trzeba zbudować na nowych podstawach, z których najważniejszą jest zasada subsydiarności i decentralizacja władzy publicznej. Widząc taką perspektywę, zacząłem inaczej patrzeć na moje miasto, dostrzegać to, co w nim dobre i to, czego w nim brakuje. A brakowało sporo. Kiepska woda, brak oczyszczalni ścieków, zaniedbane drogi…

Jeszcze tego samego roku Senat przygotował projekt ustawy o samorządzie terytorialnym (uchwalonej przez Sejm 8 marca 1990 r.), która była zapowiedzią samorządowych wyborów i pobudzenia aktywności lokalnych społeczności. Wczesną wiosną 1990 r. KO wysłał mnie jako obserwatora na wybory samorządowe do Holandii. Ten wyjazd wiele mnie nauczył, pozwolił nawiązać ciekawe kontakty, zaobserwować działanie lokalnych społeczności w zdecentralizowanym państwie. Takich doświadczeń miałem później okazję zdobyć jeszcze wiele, co skrupulatnie wykorzystywałem w mojej działalności samorządowej.

Nadszedł 27 maja 1990 r., dzień pierwszych po wojnie wyborów samorządowych, zostałem radnym. Jednym z 45, bo tylu członków liczyła wówczas zielonogórska rada miasta. Jakiś tydzień później zostałem wybrany na prezydenta miasta. Byłem pełen obaw, ale też ogromnego zapału. Miałem wprawdzie za sobą kilkanaście lat pracy na stanowiskach kierowniczych i studia podyplomowe z organizacji i zarządzania, ale żadnego doświadczenia w pracy administracji.

Pierwsze dni w urzędzie zacząłem od rozmów z członkami odchodzącego

zarządu miasta i kierownikami wydziałów. Chciałem sobie wyrobić własne zdanie o każdym z nich, o zakresie obowiązków i jakże często krytykowanej pracy urzędu. Jednocześnie studiowałem instrukcję kancelaryjną i mnóstwo innych przepisów. Po tych pierwszych rozmowach zwołałem zebranie wszystkich pracowników urzędu. Zupełnie już nie pamiętam, co wtedy mówiłem. Chyba jedynie to, że jako urząd pełnimy rolę służebną wobec mieszkańców, że oni są naszymi pracodawcami. I że odtąd będziemy pisali „urząd" małą literą. Mam wrażenie, że zostałem zrozumiany i zaakceptowany.

Dobrze wspominam te nieco ponad cztery lata mojego urzędowania, choć był to czas bez wątpienia trudny. Trzeba było przeorganizować całą strukturę urzędu i służb miejskich, wdrożyć do samodzielności i nowego sposobu funkcjonowania. Znacznej poprawy wymagała także miejska infrastruktura. Zadbaliśmy o poprawę jakości wody, budując nowe ujęcia i stację uzdatniania, o system odprowadzenia i oczyszczania ścieków, o dwustronne zasilanie miasta w energię elektryczną, czy wreszcie o poprawę i rozbudowę systemu komunikacyjnego. Zorganizowaliśmy prekursorski na polską skalę system gospodarki odpadami. Nawiązaliśmy też szereg nowych i ciekawych kontaktów zagranicznych, a stare nabrały nowego charakteru i znaczenia. Zdobyte doświadczenia przenosiliśmy na zielonogórski grunt.

Zebrania zarządu miasta, szczególnie w pierwszym okresie, trwały godzinami. Ścierały się różne poglądy, dyskusje były zażarte. Zaczynaliśmy o 9.00 i z małą przerwą na obiad w stołówce urzędu wojewódzkiego kończyliśmy późnym wieczorem. Równie gorące były dyskusje na sesjach rady miasta, choć muszę przyznać, że opozycja, którą wówczas stanowiło sześciu radnych z lewicy, była raczej konstruktywna. Lokalna polityka w ogóle wyglądała wówczas inaczej niż dzisiaj. Nasz Obywatelski Klub Radnych liczył 39 członków wywodzących się z różnych środowisk, ale mieliśmy jeden wspólny cel – dobro Zielonej Góry i jej mieszkańców. Zresztą i radni lewicy też. Mawialiśmy, że rura w ziemi nie jest czerwona ani czarna i ważne jest tylko gdzie i kiedy zostanie położona. I to był główny sens naszych dyskusji, Co najpierw, co potem, gdzie i za ile. Zawsze potrafiliśmy się jakoś dogadać.

Wiele zmieniało się wówczas także w zielonogórskiej kulturze. Prężnie działał Lubuski Teatr, Biuro Wystaw Artystycznych, rozwijała się filharmonia pod kierownictwem Czesława Grabowskiego. Powstała nieodżałowana Galeria u Jadźki, którą uwielbiałem odwiedzać nie tylko przy okazji wernisaży. W tym czasie też zadzierzgnęła się moja wieloletnia przyjaźń z księdzem Konradem Herrmannem, która trwała aż do jego śmierci.

Praca w urzędzie się jednak skończyła, a z czegoś trzeba było żyć. Nie było łatwo. Moje biuro projektów przestało istnieć i nie miałem dokąd wrócić. Nie chciałem dłużej pracować w zawodzie geodety, bo w ciągu tych kilku lat technika bardzo poszła naprzód. W 1996 r. rozpocząłem działalność gospodarczą, otwierając Lubuską Agencję Nieruchomości z siedzibą przy ul. Lisowskiego. Pamiętam, że naprzeciwko była fajna mała pizzeria, do której często wpadałem na calzone.

Nadszedł 27 maja 1990 r., dzień pierwszych po wojnie wyborów samorządowych, zostałem radnym. Jednym z 45, bo tylu członków liczyła wówczas zielonogórska rada miasta. Jakiś tydzień później zostałem wybrany na prezydenta miasta.

Jednak nie samą pracą człowiek żyje. Prowadziłem też dosyć bogate życie towarzyskie. Miałem wielu przyjaciół i znajomych. Najczęstszym powodem spotkań były imieniny, na których nieźle się jadało. Coraz więcej można było kupić w powstających jak grzyby po deszczu i coraz lepiej zaopatrzonych sklepach. Musztarda i ocet na półkach były już tylko odległym wspomnieniem. Pijało się wówczas oczywiście, jak i wcześniej, wódeczkę. Popularność wina dopiero się w latach dziewięćdziesiątych rozpoczynała (dziś na winach znam się całkiem nieźle). Tematem rozmów, a czasem zażartych dyskusji, była oczywiście polityka. Najmilej wspominam spotkania u mojego najlepszego przyjaciela Wacka Garbaja, gdzie jadało się wspaniałą dziczyznę z maestrią przygotowywaną przez jego żonę Hanię.

W 2001 r. odezwał się do mnie z prośbą o poprowadzenie zajęć nowopowstały Uniwersytet Zielonogórski, a w 2002 – Wyższa Szkoła Administracji Publicznej w Sulechowie (obecnie filia UZ).

I tak rozpoczęła się moja „kariera" nauczyciela akademickiego

Uwielbiałem pracę ze studentami. Wykładałem przedmioty związane ze zdobytymi przeze mnie doświadczeniami w pracy administracyjnej, samorządowej i zawodowej. Cieszyła mnie możliwość przekazywania tej wiedzy młodemu pokoleniu. Najbardziej lubiłem seminaria dyplomowe, a później sprawdzanie i poprawianie dyplomowych prac. Zacząłem pisać artykuły i książki, nie wszystkie wydane. To była moja nowa pasja, odnalazłem w niej nowy sens życia.

Mieszkałem wówczas początkowo w niewielkim mieszkaniu przy Potokowej, a później w Miliczu, dokąd wyemigrowałem z miłości do drugiej żony. Nie przeszkadzały mi dojazdy, choć było to 180 km samochodem. Lubiłem jazdę i w ogóle podróże. To jest moja kolejna pasja. Zwiedziłem prawie całą Europę (łącznie z Wyspami Kanaryjskimi i Maderą) i Tajwan. Odwiedziłem Stany Zjednoczone. Mam nadzieję, że pomimo mojego wieku jeszcze wiele przede mną.

W ostatnich kilkunastu latach nieodłączną towarzyszką moich peregrynacji jest ukochana żona, która odkryła także, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, że umiem śpiewać i wciągnęła mnie do chóru. Nie byłbym sobą, gdybym w krótkim okresie nie został tego chóru prezesem. Ale to historia na inną opowieść.

Mieszkam sobie zatem teraz na spokojnej emeryturze, w otoczeniu milickich stawów i lasów, ale Zielona Góra na zawsze pozostała w moim sercu i już zawsze będę się czuł zielonogórzaninem.

Tomasz Kowalski

Winiarskie związki z Francją

Wydany w 1884 roku francuski „Biuletyn Konsularny" informuje o winnicach w Zielonej Górze, określając teren ten jako „Najbardziej wysunięty na północ punkt kuli ziemskiej, w którym uprawia się winorośl".

Środkowe Nadodrze, związane z Dolnym Śląskiem, ale też Łużycami, Brandenburgią i Wielkopolską, było terenem, który zamieszkiwała ludność różnego pochodzenia. Duży wpływ na rozwój tych ziem w średniowieczu mieli osadnicy z Europy Zachodniej, przede wszystkim Flamandowie, którzy z pewnością przywieźli ze sobą znajomość tkactwa i sukiennictwa, ale też, jak twierdzą niektórzy badacze, sztukę uprawy winorośli. Być może mieli ze sobą sadzonki winogron z upraw liturgicznych, bowiem Flamandia nie kojarzy się z kultywacją tej rośliny na szerszą skalę. Drugą grupą, która mogła sprowadzić winorośl na nasze tereny, byli osadnicy z Niemiec, głównie z Frankonii, gdzie do dziś uprawia się z powodzeniem ten szlachetny krzew. Przyjęło się też, że 1150 r. jest początkiem uprawy winorośli w naszym regionie. Ten rok znany jest z opisu kronikarskiego, jednak niepotwierdzony żadnym dokumentem.

Istotną datą, także dla tematyki niniejszego artykułu, jest rok 1217. Wówczas to książę śląski Henryk I Brodaty sprowadził z Francji zakonników augustiańskich i nadal im włości oraz klasztor w Nowogrodzie Bobrzańskim. W 1263 r. biskup wrocławski potwierdził istnienie winnic należących do tegoż klasztoru. Można też przypuszczać, że mnisi przywieźli ze sobą sadzonki szczepu pinot noir, odmiany uprawianej dziś z powodzeniem w województwie lubuskim.

Kolejne winiarskie związki regionu z Francją są znacznie późniejsze i dotyczą okresu wojen napoleońskich. Brat cesarza, Hieronim, który wraz z 40-osobową świtą przebywał w Zielonej Górze, zamieszkał w domu przedsiębiorcy Jeremiasza Förstera, i pewnego dnia od swego gospodarza zażądał przygotowania mu kąpieli w czerwonym winie. W 1806 r. oddziały napoleońskie operujące na terenie Dolnego Śląska nakazały dostarczyć 50 tys. litrów wina dla twierdzy Głogów.

Zielonogórska firma Grempler & Co. powstała w 1826 r. Założyciele postanowili zająć się produkcją wina musującego metodą wtórnej fermentacji, jednak borykając się z wieloma problemami, zdecydowali się zatrudnić specjalistów z Szampanii. Joseph Jacob Fraipont Jourdan i jego następca Charles Debannes czuwali nad produkcją i dali nowy impuls wytwórni. Do ważnych osiągnięć firmy Grempler należą medale zdobyte na targach w Paryżu. Francja znana jest ze swoich świetnych win, ale też z tego, że cały winiarski świat próbuje ją naśladować czy to przez sposoby wytwarzania tego trunku, czy sadząc francuskie odmiany winorośli. Dawni zielonogórzanie musieli być więc dumni, że ich wina wymieniono w katalogu paryskiej wystawy w 1855 r., a były to produkty od Gremplera i jego wspólnika Förstera. Wydany w 1884 r. francuski „Biuletyn Konsularny" również informuje o winnicach w Zielonej Górze, określając teren ten jako „Najbardziej wysunięty na północ punkt kuli ziemskiej, w którym uprawia się winorośl". Autorzy piszą też o wysiłkach podjętych, aby wino z Grodu Bachusa było jeszcze lepsze.

Nagrodę w Paryżu otrzymała publikacja „Enographia Thalloris" autorstwa m.in. Mirosława Kuleby i Przemysława Karwowskiego.

W tym samym czasie medale zdobywały też tutejsze firmy produkujące winiaki, między innymi Albert Buchholtz. Wytwórnia ta mogła poszczycić się takim osiągnięciem, jak złoty medal i krzyż honorowy na wystawie w Bordeaux w 1896 r. Cztery lata później otrzymała medal na wystawie w Paryżu, co stało się przyczyną małego skandalu, bowiem francuscy producenci koniaków byli wrogo nastawieni do firmy z niewielkiej Zielonej Góry, złożyli więc protest, bo nie mogli przeboleć, że okazała się lepsza od nich. Warto dodać, że Buchholtz posiadał przedstawicielstwo w akwitańskim Angeac. Po 1945 r. zakład został przekształcony w zielonogórski Polmos, obecnie jest to Wyborowa SA, która również utrzymuje szerokie kontakty handlowe z Francją. Gdy w 1863 r. francuskie winnice zostały zaatakowane przez mszycę filokserę, zielonogórscy producenci zyskali szansę na sprzedaż swoich wyrobów nad Loarą i Sekwaną. Jednak kiedy plaga została opanowana, sytuacja się odwróciła i transporty wina zaczęły płynąć w drugą stronę. Jeden z nich obrazuje pocztówka z 1908 r., na której widać kilkanaście wozów z beczkami zawierającymi destylaty z okręgu Cognac. Z pewnością przedmiotem łączącym Środkowe Nadodrze z Francją jest również karta win z Resursy, w której główne pozycje zajmują francuskie wina i szampany, opisana w poprzednim numerze „Na Winnicy" (nr 11, s. 24).

W obecnych czasach winiarskie wątki w dziejach polsko-francuskich nadal są obecne. Można tu wspomnieć o literaturze. 24 czerwca 2014 r. nagrodę w Paryżu otrzymała fundamentalna dla lubuskiego winiarstwa publikacja „Enographia Thalloris" autorstwa m.in. Mirosława Kuleby i Przemysława Karwowskiego. Jeśli chodzi o produkcję wina, to należy z całą pewnością wspomnieć dwa nazwiska. Jean Mulot to współwłaściciel winnicy Saint Vincent w Borowie Wielkim, która powstała w 2009 r. i ma na koncie wiele sukcesów. Jej trunki są często wybierane jako wina reprezentacyjne np. podczas Winobrania. Z Krosnem Odrzańskim i Gostchorzem związany jest Guillaume Dubois, który wraz z małżonką Virginie produkuje wina musujące metodą wtórnej fermentacji. Jego wyroby szybko zdobyły uznanie w całym kraju, a swoim smakiem zadziwiły Frédérica Billeta, ambasadora Republiki Francuskiej goszczącego na Ziemi Lubuskiej w październiku 2021 r.

Podczas pisania tekstu wykorzystano: „Enographię Thalloris" M. Kuleby; „Winiarstwo na Ziemi Lubuskiej" B. Kresa oraz monografię „Henryk Brodaty i jego czasy" B. Zientary, a także zasoby Biblioteki Cyfrowej Gallica. Dziękuję również za wskazówki i informacje B. Gruszce i S. Płóciennikowi.

Winobraniowa degustacja komentowana

Grupa znajomych zebrała się u Ewalda Hasego. Zaproponował on, aby porównać dwa lokalne wina zrobione ze szczepu pinot noir (pino czarny). Jest to odmiana, która od wieków jest związana z Zieloną Górą. Dodatkowo jest pożądana przez winiarzy na całym świecie, gdyż daje wiele możliwości smakowych, ale w uprawie jest trudna i kapryśna.

Pierwszym winem, które poddaliśmy ocenie, jest pinot noir 2020 z winnicy Ingrid w Łazie koło Zielonej Góry.

August von Birne: W smaku powinno czuć się fiołki, nuty kwiatowe. Jednak trzeba pamiętać, że każdy z nas może mieć inne odczucia aromatyczne i smakowe.

Fritz Brieger: Tak, to prawda. Mam tutaj książkę „Wina czerwone" autorstwa Jima Anshworda, który opisuje na stronie 169 to, co powinniśmy czuć pijąc burgunda: „Dobry burgund powinien pachnieć gównem". Ale nie powinniśmy brać tego dosłownie, chodzi o nuty podwórkowe, stajenne. Książka jest z 1989 roku i wiele od tego czasu zmieniło. Dziś w pinot noir poszukujemy zapachów owoców lub kwiatowych.

fot. Tomasz Kowalski

A v. B: Tutaj muszę dodać, że jest to bardzo stara odmiana, wywodząca się jeszcze z czasów rzymskich i kojarzona przede wszystkim z Burgundią i Szampanią. Posiada bardzo delikatną skórkę, co czyni ją niezwykle podatną na przyjmowanie smaków i zapachów z otoczenia. Nie lubi gorąca i z tego też powodu świetnie nadaje się do uprawy w naszej strefie klimatycznej.

F B: To chyba najbardziej szalona odmiana. Nie można z niej dwa razy zrobić takiego samego wina. Potrafi się ono różnić nawet w jednym roczniku. W XVI wieku pinot noir został sprowadzony z Burgundii do Czech i potem na Śląsk przed dwór Luksemburgów. Najbardziej wino to ubóstwiane jest w Burgundii właśnie, a jego ceny potrafią być astronomiczne.

Liddy Beuchelt: Drodzy panowie, to tylko sama teoria. Polejmy wino z Łazu! Hmmmm… Jest delikatne, eteryczne, jakby trochę musowało. Kolor – radosna czerwień. Czuć w nosie mocną malinę z cukrem.

F B: Też czuję malinę. Można dodać, że to wino powinno zostać porządnie schłodzone.

A v. B: W smaku dość pikantne, raczej czuję tutaj nuty porzeczek. Powinno się jeszcze bardziej napowietrzyć, najlepiej przelać je do karafki.

Emma: Absolutnie nie zgadzam się z wami. W nosie czuć takie ostre korzenne nuty. Bardziej kojarzy mi się z takim winem z dzikiej róży, jakie pijała moja babcia po ciężkim dniu na naszym poletku w okresie żniw.

L B: Ja czuję malinę tylko na przedzie języka. Później czuć zielone jabłko.

A v. B: Jest bardzo wytrawne, ale są zwolennicy takich smaków.

F B: Trzeba pamiętać, że jest to kwasowa odmiana. Mnie się kojarzy to ze smakiem wiśni w alkoholu.

Ewald Hase: Może ja się w końcu wypowiem! W kolorze i w zapachu jest bardzo delikatne, w smaku czuję śliwkę, malinę. Dobre do picia na tarasie po gorącym dniu.

Kolejnym winem był pinot noir 2019 z winnicy Saint Vincent z Borowa Wielkiego koło Nowej Soli. Jest to wino medalowe, wybrane jako rekomendacja na Winobranie 2022 w kategorii czerwone wytrawne.

A v. B: Jest ciemne jak atrament! W zapachu wiśnia w czekoladzie z karmelem.

L B: Wiśnia lub nawet czereśnia. Zapach nie jest tak ostry, jak w poprzednim.

E: Ja smakuję to wino i czuję nuty czekoladowe.

F B: Od razu dodam, że pasowałoby do szynki prowansalskiej.

E H: Jest z całą pewnością ciemniejsze, pewnie było dłużej trzymane na winogronowych skórkach, które, jak wiemy, oddają kolor.

L B: W smaku występuje lekka goryczka. Dobre do potraw z drobiu, szczególnie pieczonych.

A v. B: Jest mniej taniczne od poprzedniego wina, mimo bardziej intensywnego koloru.

F B: W składzie ma chyba więcej naturalnej gliceryny, bo osadza się bardziej na kieliszku, pozostawiając charakterystyczne łezki.

E H: W smaku czuję nuty czekoladowe i owocowe. Jest zharmonizowane. Pasuje do delikatnych serów.

L B: Podsumowując, wino z Ingrid świetnie nadaje się do pizzy quattro formaggi.

F B: Osobiście mnie bardziej smakuje wino od Saint Vincent, ponieważ jest bardziej wyraziste.

E: Uważam, że to od Ingrid jest lepsze.

A v. B: Ja bym wybrał Saint Vincent, w Ingrid jest za dużo kwasowości.

E H: Dla mnie Ingrid jest lepsza, bo lubię w winach rześkość i kwasowość.

F B: Oba wina mają swoje zalety i wady. Trafią na swoich miłośników, co zresztą wskazują wypowiedzi tutaj zebranych. Nasza dyskusja pokazuje, jak intrygującą odmianą jest pinot noir. Jak różne może dać smaki i aromaty. Trzeba zauważyć, że wino z Saint Vincent ma tu lekką przewagę, bo zostało winem rekomendowanym Winobrania. Pinot noir ma jeszcze jedną zaletę, a mianowicie dużą zawartość resweratrolu – substancji, która ma wpływ na smaki i aromaty, ale jest też naturalnym antybiotykiem i korzystnie wpływa na układ krążenia. Pijmy więc pinot noir!

SABAT

Tak świętowano siedem wieków miasta

W 1922 roku hucznie obchodzono jubileusz 700-lecia Zielonej Góry. Uroczystości trwały od 3 do 5 czerwca. W mieście odbywały się wówczas liczne imprezy, koncerty, zabawy taneczne, zaś ulicami przeszedł korowód. Wydano okolicznościowe foldery, pocztówki oraz książki, m.in. ponad 1100-stronicową monografię Grünberg in Schlesien autorstwa Hugona Schmidta – miejscowego archiwisty, nauczyciela i społecznika.

W tym czasie powstał również unikatowy album pamiątkowy, w którym znalazło się szesnaście fotografii z jubileuszowego korowodu (do naszych czasów dotrwała ich tylko taka liczba, bowiem część została wyrwana z albumu we wcześniejszych latach przez nieznaną osobę), specjalnie wydana pocztówka, program obchodów, list z zaproszeniem na uroczystości świąteczne wysłany przez nadburmistrza Alfreda Finkego do architekta miejskiego Alberta Severina, a ponadto osiem numerów zielonogórskich gazet „Grünbrger Wochenblatt" i „Grünbrger Tageblatt" od 2 do 7 czerwca 1922. Album obecnie znajduje się w zbiorach Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida.

Wspomniane zdjęcia zostały wykonane przez znanego zielonogórskiego fotografa Richarda Oye, którego atelier znajdowało się przy Berlinerstrasse (obecnie ul. Jedności). Na fotografiach o wymiarach 13,5 x 8 cm uwiecznione zostały idące w korowodzie historyczne grupy rekonstrukcyjne, m.in. rycerze-strażnicy pierwszych osadników z Flandrii, żołnierze z czasów wojny trzydziestoletniej, a także pruskiego króla Fryderyka Wielkiego. W pochodzie szli również reprezentanci miejskich związków rzemieślniczych i pracowniczych: kowale, piekarze, cieśle, stelmachowie, fryzjerzy oraz kolejarze.

W czasopismach zawarto programy planowanych imprez jubileuszowych, peany na cześć Zielonej Góry oraz liczne informacje dotyczące historii miasta. Pierwsze strony świątecznych wydań przyozdobiono dekoracyjnymi bordiurami.

Album oprawiony został przez Ottona Dehmela Juniora, okładkę wykonano z twardej tektury oklejonej materiałem i papierem. Została połączona ze stronami wewnętrznymi czarnym sznurkiem. Na okładce po lewej stronie znajduje się kartusz z napisem „700 jähriges Jubiläum der Stadt Grünberg i. Schlesien 1922".

Ta pamiątkowa księga została wykonana prawdopodobnie tylko w jednym egzemplarzu, być może przez samego A. Severina. Jest to znaczący dokument dziejów naszego miasta, które w 2022 r. obchodzi swoje 800-lecie.

TK, AP-W

PROGRAM OBCHODÓW JUBILEUSZU 700-LECIA MIASTA GRÜNBERG IN SCHLESIEN

Sobota, 3 czerwca 1922
18.00 – rozpoczęcie święta biciem wszystkich dzwonów
19.00-20.00 – koncert na Rynku, capstrzyk

Niedziela, 4 czerwca 1922
7.00 – pobudka, hejnał z wieży
9.00 – świąteczne nabożeństwa we wszystkich kościołach
11.00 – uroczysta ceremonia w Kammerlichstpielen [dawne kino Nysa przy al. Niepodległości], równocześnie koncerty na rynku i Freiheitsplatz [obecnie pl. Bohaterów]
14.00 – korowód o tematyce historycznej
17.00 – występy chórów dziecięcych i towarzystw śpiewaczych
Wieczorem koncerty i ogniska

Poniedziałek, 5 czerwca 1922
7.00-8.00 – Poranna muzyka

Praca zdalna

146 autorów z 19 krajów nadesłało 329 prac na międzynarodowy konkurs na rysunek satyryczny „Praca zdalna". Grand Prix jury przyznało Grzegorzowi Myćce z Poznania. Nagrodę naszego stowarzyszenia otrzymał Noriaki Ishiyama z Japonii.

W 2023 roku powinien się odbyć jubileuszowy, bo 25. konkurs na rysunek satyryczny. Historia konkursów zaczęła się w 1986 r. W 1989 r. nastąpiła czternastoletnia przerwa. W 2004 r. o konkursie przypomniał sobie kożuchowski Zamek, a właściwie Ryszard Błażyński, który kierował tą instytucją i był jego pomysłodawcą. Nawet zawiązało się stowarzyszenie Debiut prowadzące konkurs. Od 2011 r. obowiązki głównego organizatora pełni zielonogórska książnica Norwida. Nasze stowarzyszenie jest współgospodarzem. Tematem konkursu była m.in. książka, sztuka, telewizja, wino, muzeum, maska.

W 2022 r. organizatorzy oczekiwali na rysunki dotyczące pracy zdalnej. Temat zainteresował 146 rysowników z 19 krajów, którzy nadesłali 329 prac. Komisja konkursowa pod przewodnictwem ubiegłorocznego laureata, dr. hab. Tomasza Brody, adiunkta w Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu, przyznała Grand Prix Grzegorzowi Myćce, absolwentowi Uniwersytetu Zielonogórskiego i Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu, doktorantowi tej uczelni. Pierwszą nagrodę otrzymała Magdalena Wosik z Wrocławia, drugą – Henryk Cebula z Przeworska, trzecią – Konstantin Kazanchev z Ukrainy. Były też nagrody specjalne, ufundowane przez współorganizatorów. Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica" swój laur przyznało japońskiemu rysownikowi Noriaki Ishiyamie, Stowarzyszenie Polskich Artystów Katrykatury – Maciejowi Trzepałce, Biuro Wystaw Artystycznych w Zielonej Górze – Huseyinowi Cakmakowi z Cypru, Zielonogórski Ośrodek Kultury – Alinie Tyshchuk z Ukrainy, Oddział Okręgowy NBP w Zielonej Górze – Czesławowi Przęzakowi, Nice Jaworowskiej i Zbigniewowi Korlakowi, Muzeum Karykatury w Warszawie – Břetislavowi Kovářikowi z Czech. Prezes naszego stowarzyszenia R. Błażyński ufundował nagrodę prywatną, otrzymał ją Lubuszanin Mirosław Hajnos.

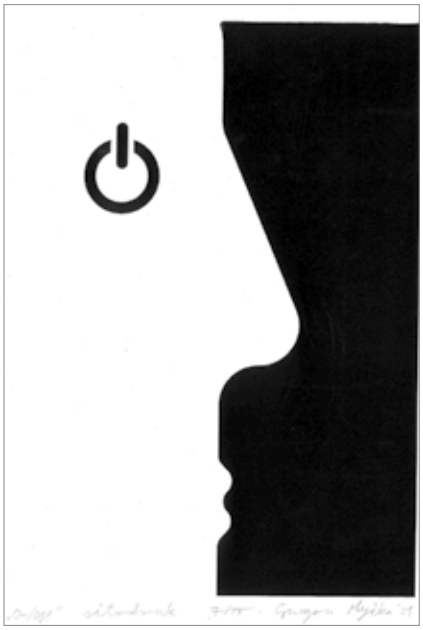

Grzegorz Myćka - Grand Prix

Noriaki Ishiyama – nagroda specjalna

AS

Zgodnie ze statutem

Najwyższą władzą naszego stowarzyszenia jest walne zebranie członków. Statut nakazuje odbycie zebrania przynajmniej raz na rok. Co cztery lata odbywa się zebranie sprawozdawczo-wyborcze. Ostatnie takie zebranie miało miejsce 28 marca 2022 r.

Zebranie rozpoczęło się w drugim terminie, ponieważ o godzinie wskazanej jako jego rozpoczęcie w sali było obecnych mniej członków niż nakazuje statut. Do stowarzyszenia należy 57 osób, obecnych było 21. Zebranie otworzył prezes ustępującego zarządu Ryszard Błażyński, wnosząc o przyjęcie zaproponowanego porządku. Został on przyjęty przez obecnych bez uwag. Zebranie prowadził Jan Zelek. Sprawozdanie z działalności w 2021 r. członkowie otrzymali dwa tygodnie przez terminem zebrania. Podczas spotkania prezes je omówił. Wszystko, co stowarzyszenie zaplanowało, zostało wykonane mimo pandemii i związanym z tym ograniczeniem działalności. Do ważniejszych zrealizowanych zadań należało wydanie czterech publikacji książkowych autorów zielonogórskich – trzy z nich zostały nagrodzone przez kapitułę Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. Odbyły się konkursy – na utwór literacki tematycznie związany z Zieloną Górą i o laur Winiarki. Zorganizowano kilka spotkań z autorami książek, których treść dotyczy Zielonej Góry. Ustanowiono nagrodę Przyjaciel Zielonej Góry, którą w 2021 r. otrzymał Uniwersytet Zielonogórski. Ukazały dwa numery magazynu „Na Winnicy". Na wykonanie prawie wszystkich zadań stowarzyszenie otrzymało pomoc finansową z samorządu zielonogórskiego. Wydatki stowarzyszenia na te zadania wyniosły 36 tys. zł. Na koniec 2021 r. w kasie było 9,6 tys. zł, pochodzących ze składek i darowizn.

Zebrani wybrali nowe władze stowarzyszenia na czteroletnią kadencję. Zarząd będzie pracował w składzie: prezes – R. Błażyński, wiceprezesi – Alfred Siatecki i Ryszard Zaradny, sekretarz – Roman Czarnecki, skarbnik – Halina Kamińska, członkowie – Alicja Błażyńska, Alina Polak-Woźniak i Jan Zelek. Przewodniczącym komisji rewizyjnej został Mieczysław Jerulank, członkami – Sławomir Kostrzewski i Mirosław Rataj.

AS

Od wiosny do jesieni

Izabela Sak podarowała 20 akwarel naszemu stowarzyszeniu, a TMZG„W" przekazało je Szpitalowi Uniwersyteckiemu w Zielonej Górze. Akwarele zdobią ośrodek diagnostyki i leczenia raka piersi w budynku stojącym przy onkologii. Ta bardzo aktywna malarka studiowała na wydziale artystycznym Uniwersytetu Zielonogórskiego. W lutym 2022 r. jej prace oglądały osoby odwiedzające Międzynarodowe Centrum Ceramiki w Bolesławcu. W marcu wystawę „Konfiguracja" obejrzeli gubinianie w galerii Ratusz. W maju wystawę obrazów olejnych i akwarel „Jej malowanie" zobaczyli mieszkańcy Zielonej Góry w Norwidzie. Prezentacji towarzyszyły zdjęcia wykonane przez Romana Czarneckiego. We wrześniu prace zielonogórzanki trafiły do galerii niemieckich miast Görlitz i Frankfurt nad Odrą oraz do Słubic. Następna prezentacja twórczości zielonogórzanki będzie w gdańskiej Galerii Oria Magic House.

Kierująca zakładem literaturoznawstwa na Uniwersytecie Zielonogórskim prof. dr hab. Małgorzata Mikołajczak została wybrana na prezeskę Lubuskiego Towarzystwa Naukowego. W skład zarządu weszła prof. dr hab. Bogumiła Burda z instytutu historii UZ. Stowarzyszenie prowadzi działalność naukowo-badawczą dotyczącą problematyki regionu oraz zajmuje się organizacją życia naukowego na Ziemi Lubuskiej i popularyzacją nauki. LTN istnieje od 1964 r., wydaje „Rocznik Lubuski". „Zależy nam na współpracy z towarzystwami oraz instytucjami naukowymi, które działają w kraju i za granicą, w pierwszym rzędzie z Uniwersytetem Zielonogórskim, odgrywającym główną rolę naukową w regionie. Chcemy, by nasze działania łączyły środowisko badaczy i wspierały inicjatywy służące rozwojowi Ziemi Lubuskiej" – powiedziała nowa prezeska.

Prof. dr hab. Bogumiła Burda znalazła się w gronie laureatek pierwszej edycji plebiscytu 16 Liderek Równości. Plebiscyt ma na celu docenienie i promowanie lokalnych liderek działających na rzecz osiągnięcia szeroko rozumianej równości płci w ich społecznościach. Organizatorem plebiscytu był Kongres Kobiet i Ambasada Brytyjska w Warszawie.

Rozmową red. Szymona Płóciennika z dr. Bartłomiejem Gruszką TMZG „W" zainaugurowało cykl spotkań z autorami trzytomowej „Historii Zielonej Góry" opublikowanej przez Oficynę Wydawniczą Uniwersytetu Zielonogórskiego. Pierwszy tom, obejmujący dzieje miasta do końca XVIII wieku, ukazał się w 2011 r. Drugi, dotyczący przeszłości miasta w XIX i XX wieku, wyszedł w 2012 r. W tomie trzecim z 2022 r. autorzy przedstawiają miasto po 1989 r. Podczas pierwszego spotkania w sali Witrażowej Muzeum Ziemi Lubuskiej, które jest partnerem przedsięwzięcia, dr. Gruszka odpowiadał na pytania prowadzącego i słuchaczy dotyczące badań archeologicznych w Zielonej Górze. Spotkanie inaugurujące cykl podwieczorków z historią miasta, które w 2022 roku świętuje 800-lecie, odbyło się we wtorek ostatniego dnia kwietnia. Cykl spotkań zakończy się 13 grudnia 2022 r. Wtedy Zielona Góra rozpocznie obchody 700-lecia nadania praw miejskich.

Nagrodę kulturalną prezydenta Zielonej Góry otrzymał Ryszard Błażyński. W uzasadnieniu podano, że „jest prezesem Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry »Winnica« będącego inicjatorem wielu znaczących inicjatyw kulturalnych takich, jak nagroda literacką Winiarka dla twórców, którzy przyczyniają się do promocji Zielonej Góry, a także nagroda i tytuł Przyjaciel Zielonej Góry dla wybitnej osobowości lub instytucji, mającej doniosły wpływ na rozwój miasta".

Dziesięć dni po oddaniu do druku poprzedniego numeru „NW" dotarła do nas miła wiadomość. Nominowana do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2021 powieść Przemysława Piotrowskiego „Zaraza" została Książką Roku 2021 w kategorii kryminał, sensacja/thriller w plebiscycie zorganizowanym przez serwisy Lubimyczytac.pl. oraz Allegro. W czerwcu 2022 r. wydawnictwo Czarna Owca wydało „Bagno", czwartą powieść zielonogórzanina z serii z komisarzem Igorem Brudnym.

W wydawnictwie Saga Egmont wyszła powieść Alfreda Siateckiego „Szwindel w Grünbergu" jako ebook i audiobook. Książkę, za którą zielonogórzanin otrzymał Lubuski Wawrzyn Literacki, wydało nasze stowarzyszenie w 2021 r. w wersji papierowej. W wydawnictwie Agrafka wyszła opowieść tego autora „Kocha, nie oczekując wzajemności". Jest to literacka rzecz o ludziach i ich zwierzętach.

---

7 czerwca 2022 r. nasze stowarzyszenie zawarło umowę z Uniwersytetem Zielonogórskim „w celu realizacji wspólnych działań". Jest w nim mowa m.in. o wspieraniu „działalności naukowej, kulturalnej, historycznej i artystycznej, przyczyniającej się do rozwoju Zielonej Góry i Ziemi Lubuskiej oraz upamiętniania przeszłości i tradycji, a także najciekawszych współczesnych inicjatyw w naszym regionie". Stowarzyszenie i UZ będą wspólnie wydawać książki i czasopisma, dokumentować i upamiętniać najważniejsze wydarzenia oraz osoby, „które tworzyły lub tworzą artystyczną, gospodarczą i naukową historię Zielonej Góry. Dokument podpisali prezes TMZG„W" Ryszard Błażyński i rektor UZ prof. dr hab. Wojciech Strzyżewski. Podobne porozumienia stowarzyszenie ma z zielonogórskim oddziałem Związku Literatów Polskich i z Muzeum Ziemi Lubuskiej.

fot. Jacek Katos

„Roz-Migaj-się w Zielonej Górze" na placu przed filharmonią

fot. Krzysztof Król / "Gość Niedzielny"

Koncert „800 instrumentów na 800-lecie" w konkatedrze

Obok Winobrania

Awers banknotu kolekcjonerskiego z okazji 100-lecia muzeum w Zielonej Górze

Okolicznościowa kartka wydana przez Pocztę Polską

Pamiątkowy medal z 800-lecia Zielonej Góry i 700-lecia praw miejskich

„Przez Zielone Miasto" – płyta wydana przez Studium Muzyczne „Tonika"

fot. Weronika Trojanowska

Wystawa prac plastycznych Oskara Zięty w Muzeum Ziemi Lubuskiej

fot. Alicja Błażyńska

Wystawa na Starym Rynku z okazji 40-lecia Zielonogórskiego Klubu Fantastyki „Ad Astra"

Mural Urszuli Dudziak na budynku przy al. Wojska Polskiego autor – Jakub BIKO Bitka fot. Alicja Błażyńska

Żagań ma 36 zdeklarowanych przyjaciół

W pierwszej połowie 2022 roku Towarzystwo Przyjaciół Żagania świętowało swoje ćwierćwiecze. Należy do niego 36 osób, którym zależy na tym, żeby miasto jak dawniej było sławne i bogate, a jego mieszkańcy szczęśliwi.

Sławnymi postaciami związanymi z Żaganiem można obdzielić kilka lubuskich miejscowości. To między innymi królowa Jadwiga, czwarta żona Kazimierza Wielkiego. W mieście nad Bobrem pełnił służbę w armii napoleońskiej Marie Henri Beyl, powieściopisarz francuski znany jako Stendhal. Tu przyszła na świat czeska pisarka Božená Němcová. Tu pracował niemiecki astronom Johannes Kepler, autor „Snu, czyli astronomii księżycowej", pierwszej na świecie książki s-f. Tu księżna Dino gościła Franciszka Liszta, Henryka Balzaka, króla Francji Ludwika XVIII. Tu zaczęła układać swoje wiersze najsławniejsza cygańska poetka Papusza. Tu pisał Paweł Wiktorski. Tu tworzy Edward Derylak. A i są malarze. Muzycy. Wojskowi.

fot. Daniel Jung

Adam Stawczyk (1947-2008) – był wśród założycieli Towarzystwa Przyjaciół Żagania. Był również jego prezesem. Odlana z brązu ławeczka znajduje się w pałacu Bironów i Talleyrandów w Żaganiu, który swój wygląd po odbudowie zawdzięcza A. Stawczykowi, przez blisko ćwierć wieku szefowi Żagańskiego Pałacu Kultury.

fot. Daniel Jung

Podczas koncertu jubileuszowego uczniowie Państwowej Szkoły Muzycznej I i II Stopnia w Żaganiu Oliwia Giza i Oliwier Łukasik wykonali Polkę dziecięcą Dymitra Szostakowicza na ksylofonie

Za wyjątkową postać, która spoczywa na ławeczce w pałacu, żaganianie uważają Adama Stawczyka. Pewnie znalazłby się i ktoś inny, ale czy potrafiłby odbudować zdewastowaną siedzibę Lobkovitzów, Bironów i Talleyrandów? A przy tym przypominać dzieje księstwa? I zapalić żaganian do kochania miasta? Z jego inicjatywy w 1997 r. powstało Towarzystwo Przyjaciół Żagania.

– Adam Stawczyk to był erudyta. Chodząca kopalnia pomysłów. Jeszcze zanim zaproponował powołanie naszego stowarzyszenia, wymyślił wiele zdarzeń promujących miasto. Odbywały się imieniny Michała i Jarmark Świętego Michała, patrona Żagania – przypomina Krzysztof Prucnal, pierwszy przewodniczący TPŻ. Po jego wyjeździe do pracy w Warszawie członkowie stowarzyszenia funkcję prezesa powierzyli A. Stawczykowi. Pełnił ją do niespodziewanej śmierci w 2008 r. K. Prucnal przypomina, że wtedy zaczęły się odbywać aukcje obrazów, z których dochód był przeznaczany na stypendia dla uzdolnionej młodzieży. Zaczął wychodzić „Almanach żagański", ukazujący ludzi, dzieje i zabytki miasta. Towarzystwo przyczyniło się do wydania „Snu" J. Keplera i „Legend żagańskich". Rok po śmierci A. Stawczyka ukazały się jego „Gawędy żagańskie", wcześniej publikowane w „Tygodniku Żarsko-Żagańskim".

Wyliczanie osiągnięć stowarzyszenia prezeska Halina Dobrakowska zaczyna od corocznego plebiscytu o tytuł Żaganianina Roku. Pierwszym, któremu w 1998 r. kapituła przyznała tę godność, był Piotr Rybak. Strażak, który uratował życie piętnastolatce tonącej w Bobrze. Żaganianinem Roku jest absolwent miejscowej szkoły muzycznej Jarosław Nadrzycki, skrzypek mający osiągnięcia rangi światowej. Tytuł ten otrzymali m.in.: artysta plastyk Gustaw Lis, amazonka Liliana Kurek, ks. Zygmunt Mokrzycki, właściciel kolekcji kaktusów Zdzisław Kondratowicz. Żaganianiem Roku 2004 został prof. dr hab. Paul Kluge, Niemiec urodzony w Sagan, do niedawna nauczyciel akademicki w Zielonej Górze. Kapituła wyróżniła pośmiertnie A. Stawczyka i regionalistę Mariana Świątka.

W 2014 r. odbył się I Salon Żagański na temat Euroregionu „Sprewa-Nysa-Bóbr". Były następne, a nawet Salon Europejski. Każdego roku odbywają się Imieniny u Doroty, kojarzone z Dorotą Talleyrand-Périgod (księżna Dino była też właścicielką pałacu na zielonogórskim Zatoniu). Są wycieczki a to do Berlina, a to na niemieckie Łużyce, to po Polsce.

TPŻ liczy 36 członków, dominują nauczyciele i urzędnicy. Na koncert jubileuszowy z okazji ćwierćwiecza stowarzyszenia przyszło do pałacu ponad sto osób, którym miasto jest drogie i bliskie.

AS